

Przyjaciółka

TYGODNIK

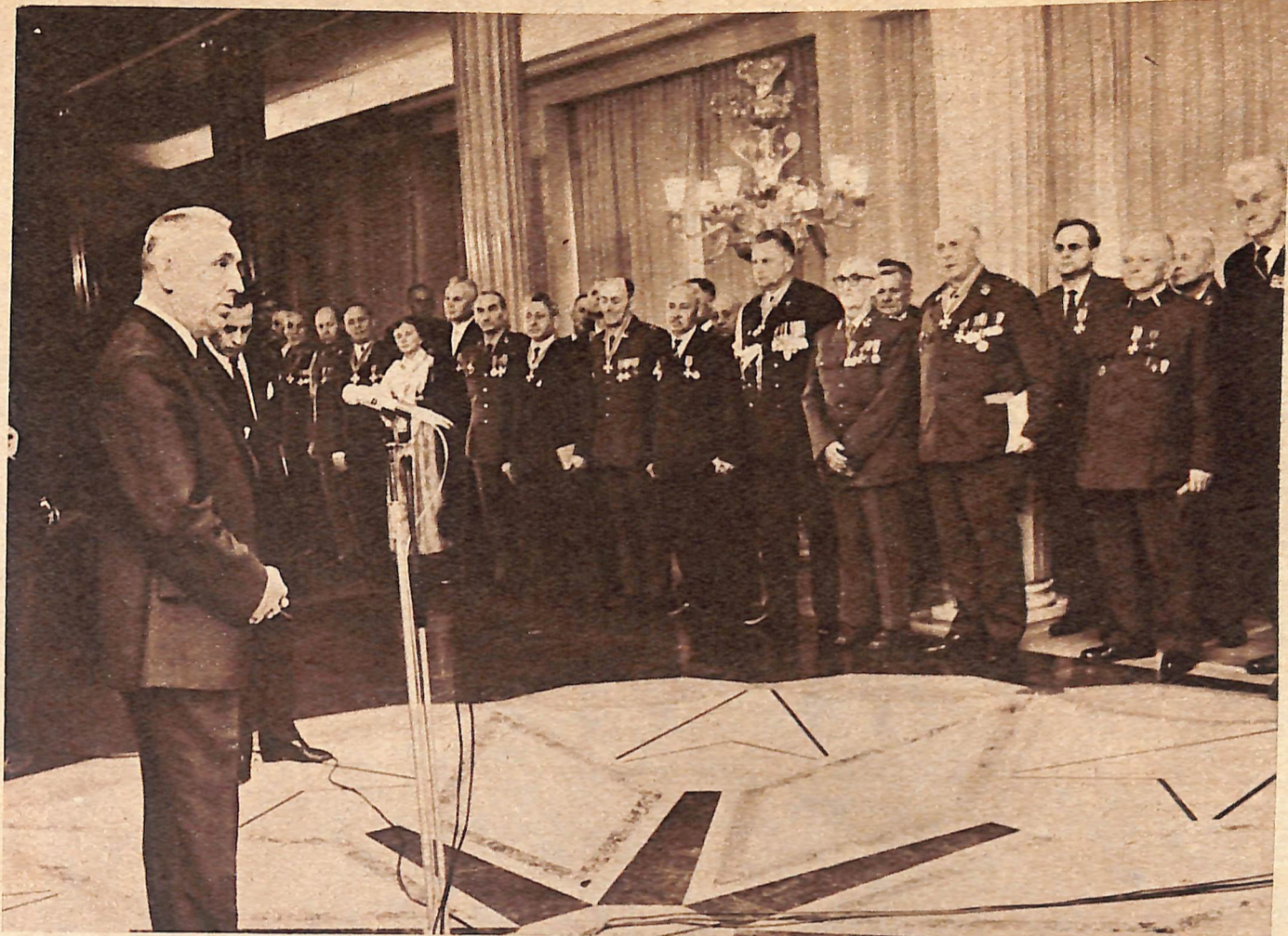


Mamom z miasta, Mamom z wioski, Mamom, do których wnuki już mówią babciu i Mamom młodziutkim – sto lat w dniu Ich Święta

W PAMIĘTNĄ ROZCZNICĘ

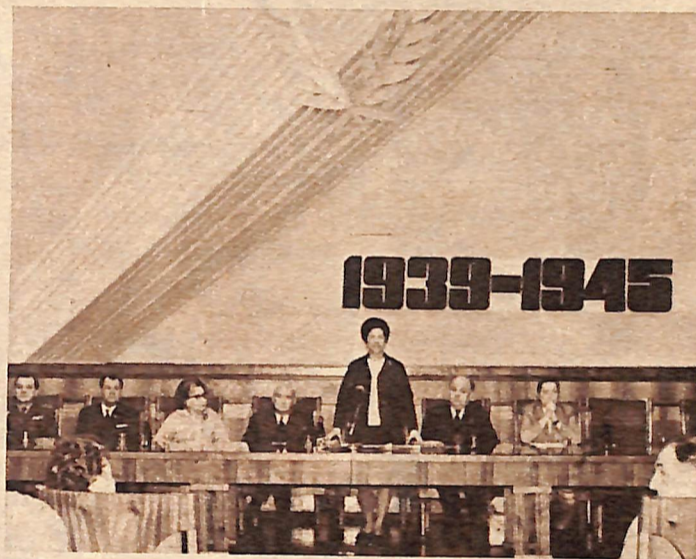
W nocy z 2 na 3 maja 1921 rozpoczęli III Powstanie Śląskie, którego boje rozciągnęły się aż po Odrę i trwały do 5 lipca 1921. Było ich sześćdziesiąt tysięcy. Dzięki nim przyznano wtedy Polsce część Górnego Śląska. Dziś żyje ich niespełna dziewięć tysięcy.

Już trzeci rok trwają uroczystości jubileuszowe przypominające nam patriotyczny czyn zbrojny ludowych mas śląskich. Kulminacyjnym momentem obchodów był uroczysty Apel powstańczy 7 kwietnia br. na Górze św. Anny, z udziałem przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych, oraz licznej rzeszy społeczeństwa opolskiego i katowickiego. Około 300 weteranów powstań śląskich, byłych działaczy plebiscytowych i kombatantów z wszystkich frontów drugiej wojny światowej otrzymało odznaczenia państwowe. Uroczystości te poprzedziła dekoracja orderami w Radzie Państwa przeszło 100 kombatantów i bojowników o polskość Śląska, Warmii i Mazur. Na zdjęciu: podczas uroczystej dekoracji w Radzie Państwa przemawia Edward Gierek.



Jak już pisaliśmy w poprzednim numerze, w kwietniu odbyła się w Warszawie sesja popularno-naukowa na temat udziału kobiet polskich w II wojnie światowej. Zorganizował ją ZG Ligi Kobiet i ZBoWiD, przy współudziale szeregu zainteresowanych placówek naukowych i społeczno-politycznych.

Na zdjęciu pierwszym: Prezydium Sesji; przemawia Maria Milczarek. Zdjęcie drugie: Uczestniczki Sesji, na pierwszym planie Halina Auderska, prezes Oddziału Warszawskiego ZLP.



DZIEŃ DOBRY MAMO!



Magdalenka Karolak jeszcze nie umie powiedzieć dzień dobry. Uśmiecha się więc tylko na powitanie najpiękniejszym ze swych niemowlęcych uśmiechów i pilnie obserwuje co też smacznego Mama przygotowuje dziś na śniadanie. (fot. 1).



Gdy Mama w swoim Biurze projektów rozpoczyna kreślenie zawilego rysunku technicznego (fot. 2), panna Magdalena z tatą odbywa podróż do żłobka. Spotkają się dopiero za kilka godzin.



Teraz Mama spieszy z Magdalenką do domu (fot. 3). Wieczorna kąpiel – Magdalence sen klei już powieki – kończy pracowity dzień dziecka (fot. 4). Na Mamę czeka jeszcze wiele codziennych, pilnych, domowych zajęć.



Matka wstawała najwcześniej z nas wszystkich, budziła ojca, potem cicho krzątała się po kuchni, żeby dla nas wygospodarować bodaj jeszcze chwilę porannego snu. Później dopiero, widząc, że nie kwapiemy się do wstawania, zaczynała przestawiać na kominie garnki coraz energiczniej i z większym łoskotem.

— Wstajecie czy nie! Kto krowy wygoni? — pokrzykiwała gniewnie, zawsze tak samo, co stanowiło już codzienny, poranny rytuał. Ale wiadomo było, że wystarczy przetrwać z głową na poduszce ten groźny moment matczynej niecierpliwości, kiedy szykowała wiadra do udoju, by zyskać sobie jeszcze dobre pół godziny snania, albo i więcej. Za chwilę bowiem wychodziła z kuchni i za oknami rozlegało się znajome skrzyknięcie otwieranych wrót obory i ryk Lysej tej narowistej krowy, która zdaniem mamy najciężej się doła.

— Twarde czegoś to bydło! — z podwórka dobiegał zatroskany jej głos. Myła ręce koło studni i długo wycierała zaczerwienione i spuchnięte nieco palce, obolałe od reumatyzmu. Dojenie sześciu krow szczególnie dawało się matce we znaki. — Dopomógłbyś trochę — zwracała się do ojca.

Co też mama! Chłop przy dojeniu? Tego sobie jakoś nie można było wyobrazić. Ojciec też na sprawę dojenia miał zdecydowany pogląd.

— Przecie to babska sprawa, nie moja! Swojej roboty mam dosyć! — Majstrował coś koło radła wyciągniętego z szopy, poił Gniadą i gderał na cały świat.

— Biedna mama — zamruczała Joaśka ze swojego łóżka zasypiając w tym momencie twardo. Jakże dobrze było tak poleżeć jeszcze chwilę w pościeli. Parkotały nastawione przez matkę kartofle na kominie, pachniał barszcz i od kuchni biło przyjemne ciepło. To ciepło najbardziej chyba kojało się w myślach z osobą mamy i z jej czynną obecnością. Bo gdyby jej nie było, tak jak wtedy...

Od razu stawał w oczach przykry obraz wystęgu komina, na którym nic nie parkotało tamtego pamiętnego ranka, kiedy to mama zachorowała ciężko i musiała jechać do szpitala. Potem tato z Joaśką dali świniom całe mleko z porannego udoju, żeby było szybciej, bo tacie wszystko leciało z rąk. Dosłownie leciało, bo pamiętamy jak garnek z kaszą upuścił na podłogę, że wywrócił się do górny dnem. Złe, bardzo złe było bez mamy!

Stukot wiader o podłogę wyrwał nas z rozmyślań, które prawdę mówiąc przemieniły się w zupełnie twarde sen.

— Wstajecie czy nie! Czaś wyganiać! — teraz nie było już żartów, zwłaszcza że i ojciec nadchodził z podwórka.

Mama nie siadała z nami do śniadania.

— Ja zaraz, tylko tu jeszcze... — tego „jeszcze” bywało tyle, że barszcz jadła wystygły na amen. Bo kury dopominały się o swoją porcję albo prosięta. Wszystko na matczynej głowie.

— Bo z prosiętami to jak z dziećmi! — powiedział niezmiennie ojciec — no a dzieci nie innej, tylko babskiej ręki wymagają! To samo z cielętami...

Długa, bardzo długa jest lista tych rzeczy i tej roboty, do której kobieta ręka jest niezbędnie potrzebna. Myśleliśmy sobie o tym czasem, ale bardzo rzadko, bo i kto by tam sobie głowę zaprzętał. Mama przecież jest od tego, żeby i kwiaty były zasadzone pod oknem i żeby len równiutko z chwastów oczyścić. I warzywnik na jej głowie

i kury i pranie i obiad dobry... Do nas należało tylko poranne wyganianie krow i dobra nauka, bo tego mama wymagała w pierwszym rzędzie.

Tego dnia matka przyszła z pola jakby mniejsza od zmęczenia, zgięta od nadmiernego schyłania. Zapadał zmierzch. Ojciec niecierpliwie wyczekiwał na nią koło domu. Sam przecież obrządku nie zaczyna. I jeszcze to zebranie...

— Kowalska tu była przed chwilą. Dziś w klubie zootechnik będzie miał wykład o zapobieganiu chorobom trzody. Przypominała że kobiety mają też być wszystkie. Ogarnijże się trochę!

Radości i smutki

MATKA



Rys. A. Święcicka

Niecierpliwie spoglądał najpierw na pospieszne próby matki doprowadzenia się do jakiegoś takiego wyglądu, potem na jej rezygnację. Pewno, że miałyby ochotę pójść, ale co z kolacją i obrządkiem. Jakże tak odejść...

— Idź sam, nie czekaj — zaczęła swoim zwyczajem — ja tam dojdę później. Jak zdążę... I z powrotem przypasywała przybrudzony roboczy fartuch. Ojciec wyszedł bez słowa, lecz po chwili zawrócił od bramy. Stanowczym ruchem wyjął matce wiadro z ręki.

— Zostaw to teraz. Wydoi się później. Obrządziemy razem po powrocie! A wy tu — zwrócił się do nas — domu pilnować!

Mato tego, że pilnowaliśmy. Joaśka kuchnię zamiotła, kury zagnała do szopy, kolację podała.

Nie ma się znowu czym tak przechwalać, bo mleko ciepłe na kominie stało. Ale najciekawsza rzecz nastąpiła potem. Tato wrócił z zebrania sam. Matce kazał zostać na telewizji w klubie. Po prostu kazał i już!

Pokreślił się po kuchni i wyszedł po chwili z dwoma wiadrami w rękę. Na długi przeciąg czasu znikł za drzwiami obory, skąd dobiegało zdziwione jakby porykiwanie Lysej, tej która się ciężko doła i tłumione dogadywanie ojca.

— A bodaj cię! Diabeł nie krowa!

Matka weszła do kuchni bardzo szybkim krokiem. Późno! Że też dała się namówić na ten film! Gdzie są wiadra, fartuch?

Nie było wiader ani fartucha na miejscu. Nie było też ojca. Migotało światło w okienku obory. Pobiegła tam i stanęła w drzwiach zatroskana. Mleko strzykało spod palców męża do skopka równiutko, zupełnie prawidłowo. Uniósł głowę.

— No, co patrzysz? Może źle mi idzie? Nie taka znów filozofia! A bodaj cię!... Nie, ten ostatni okrzyk bynajmniej nie był skierowany pod adresem matki. To tylko narowista Lyśka zawadziła rogami o krzywo zawiązany fartuch...

*

O matkach wiejskich, gospodyniach borykających się z nieustanną i nigdy nie kończącą się robotą chcemy dziś pomówić z Wami, drodzy Czytelnicy. Jakże często na barkach tych kobiet spoczywają obowiązki ponad ich siły! Oto kilka danych z badań nad sytuacją kobiety wiejskiej, prowadzonych w olsztyńskiej WSR. Obliczono (wg średniej rocznej), że przeciętny dzień pracy gospodyni wiejskiej wynosi około piętnastu godzin! Z tego największe zabiera prowadzenie domu (5 godzin) i hodowla (4 godziny). Czas, który kobieta mogłaby przeznaczyć dla siebie, na odpoczynek jest niezmiernie krótki, liczony już nie w godzinach, lecz... w minutach.

Matki zabiegane, zatroskane, przemęczone ponad miarę... Czy naprawdę nie ma żadnej rady, by przy dobrej woli całej rodziny ulżyć ich pracy? Na pewno tak! Oto co napisał do nas niedawno Czytelnik z Rzeszowskiego:

„Nigdy nie pozwałam żonie dźwigać kotła z kartoflami ani ciężkich wiader. Razem z synem rano przynosimy wodę i od razu tyle, żeby starczyło do południa. Wynoszenie świniom karmy to też nasza robota, bo po prostu wstyd by nam było, gdyby kobieta musiała nosić ciężary, kiedy w domu dwóch mężczyzn!”

Znamy niestety przykłady zupełnie odmienne, kiedy to kobieta nie może liczyć na żadną pomoc, kiedy sama musi się borykać z dziesiątkami problemów nie tylko gospodarskich, ale i wychowawczych. Sama biega na wywiadowki, sama decyduje o wyborze szkoły i o przyszłości dziecka, bo ojciec... nie kwapi się do pomocy i do dzielenia z żoną tych obowiązków. A przecież od nich, kobiet-producentek wymaga się wciąż więcej i więcej. Muszą podnosić swoje kwalifikacje rolnicze, unowocześniać produkcję, prowadzić dom na coraz wyższym poziomie. Jakże im pomóc?

Z tym pytaniem zwracamy się dziś, w dniu Święta Matki, do Was, drodzy Czytelnicy. Do mężów, synów, do dorastających córek. Napiszcie, co robicie, aby ulżyć żonie i matce w jej rozlicznych zajęciach? Jak Waszym zdaniem należy zorganizować życie rodzinne, by ułatwić pracę kobiecie-żonie i matce? Oczekujemy Waszych listów!

H. BIELSKA

Racjonalne wykorzystanie użytków rolnych

Sprawy związane z rozwojem i intensyfikacją rolnictwa znajdują się w centrum zainteresowania najwyższych władz partyjnych i rządu. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR rozpatrzono przedłożony przez rząd kompleks zagadnień związanych z zapewnieniem odpowiednich warunków dla rozwoju produkcji rolnej. Przedyskutowano jeden z istotnych problemów, a mianowicie sprawę racjonalnego wykorzystania wszystkich użytków rolnych tak, aby nie było ziemi nie uprawianej. Omówiono także założenia reformy podatku gruntowego, które uwzględniają włączenie do świadczeń finansowych wartości dostaw obowiązkowych. W związku ze zniesieniem z dniem 1.1.1972 obowiązkowych dostaw produktów rolnych, nakreślono kierunki, dotyczące rozszerzenia kontraktacji i innych form skupu zbóż, ziemniaków i zwierząt rzeźnych. Biuro Polityczne zaakceptowało proponowane rozwiązania i uznało za słuszne, aby rząd dokonał niezbędnych zmian w dotychczas obowiązujących



przepisach oraz przedłożył Sejmowi odpowiednie projekty ustaw.

Na marginesie powyższych obrad warto odnotować, że szczególne znaczenie przywiązuje się do usprawnienia przepisów odnoszących się do obrotu ziemią.

Dotychczas obowiązywało wiele zarządzeń, wszystkie miały na celu zahamowanie szkodliwego dla produkcji rolnej rozdrabniania gospodarstw. Przepisy te jednak nie uwzględniały występujących w różnych rejonach kraju specyficznych warunków. Tam też najczęściej dochodziło do omijania zarządzeń, stosowania nieformalnych, niekontrolowanych transakcji w obrocie ziemią. I dlatego dla uzdrowienia tej sytuacji jest potrzebna zmiany pewnych zarządzeń. Pozwola one radom narodowym lepiej

uwzględnić interesy produkcji rolnej na swoim terenie — w każdym indywidualnym przypadku poprzez podział danego gospodarstwa, zbycie lub nabycie nieruchomości rolnej.

Sądzymy, że jeśli proponowane zmiany uzyskają akceptację Sejmu i nabędą mocy obowiązującej, spotkają się z powszechnym zadowoleniem.

Niemniej istotną sprawą dla przyspieszenia intensyfikacji produkcji rolnej w gospodarstwach indywidualnych jest uporządkowanie stanu posiadania. Według niepełnych danych, około miliona indywidualnych gospodarstw w kraju nie ma jeszcze uregulowanego tytułu własności. Ma to miejsce głównie w województwach centralnych, południowych i wschodnich. Również uporządkowanie i tej

dziedziny prawnej wpłynie niewątpliwie na intensyfikację produkcji rolnej.

Polskie pięcioraczki

Sensacja to na miarę światową. W Gdańsku przyszły na świat pięcioraczki — trzech chłopców i dwie dziewczynki. Szczęśliwą matką jest 32-letnia Leokadia Rychert, pracownica „Społem” w Pruszcze Gdańskim, ojcem, podoficer wojska Bronisław Rychert. Dzieci znalazły się pod troskliwą opieką lekarzy z Instytutu Położnictwa Akademii Medycznej w Gdańsku. Wszystkie zostały umieszczone w specjalnych cieplarniach. Najmłodszej dziewczynce zaraz po urodzeniu trzeba było przetoczyć krew.

W dniu, kiedy podajemy tę wiadomość, cała piątka czuje się dobrze i można było już przystąpić do karmienia icif przy pomocy smoczka. Dla noworodków decydujące będą pierwsze tygodnie życia. Personel lekarsko-położniczy dokłada maksymalnych starań, by dzieci miały jak najtroskliwszą opiekę.

(Dalszy ciąg na str. 10)

Monika Warneńska

KOBIETY Z DŻUNGLI I ZE STEPÓW

Poznałam je w Hanoi, w niespokojnych dniach wojny, w upalnych dniach tropikalnego lata. Z jedną z nich zetknęłam się w siedzibie Związku Kobiet Wietnamskich, z drugą w redakcji pisma „Phu Nhu Viet-Nam” („Kobieta Wietnamska”), które jest odpowiednikiem „Przyjaciółki”. Powitałam je niedawno w Warszawie na konferencji kierownictwa ruchu kobiecego krajów socjalistycznych. Obydwie, wiceprzewodnicząca Zarządu Głównego Związku Kobiet Wietnamskich Ha Thi Que i dziennikarka Tran Thi Lan Anh, dźwigają brzemie przeżyć dwóch wojen wietnamskich: pierwszej wojny z kolonistami francuskimi w latach 1946—1954 i agresji USA, która wciąż jeszcze trwa.

ŚMIERĆ ZAGŁADAŁA W OCZY

— Los, który nam przypadł, to los prawie wszystkich kobiet wietnamskich, zwłaszcza średniego i starszego pokolenia — powiedziała mi towarzyszka Ha Thi Que. — Czy naprawdę warto o nas pisać? Takie jak my można przecież spotkać w naszym kraju na każdym kroku.



Autorka ze swymi rozmówczyniami. Od lewej: wiceprzewodnicząca Związku Kobiet Wietnamskich Ha Thi Que, dziennikarka Tran Thi Lan Anh, oraz Monika Warneńska.

Skromność Wietnamiczek jest przysłowiowa. Ale w rozmowie z obydwoma delegatkami przybyłymi do Warszawy na międzynarodową konferencję kierownictwa organizacji kobiecych dopomaga nam... fotografia. Lekko poślizgnięte zdjęcie, na którym Ha Thi Que, o dwadzieścia lat młodsza, stoi z kilkoma rodaczkami obok prezydenta Ho Chi Minha.

— Viet Bac? — pytam, wskazując zdjęcie. Que potakuje. Tak, to było w Viet Bac, w dżungli na północnych rubieżach kraju, gdzie podczas pierwszej wojny wietnamskiej istniała strefa wyzwolona, gdzie przebywał rząd i kierownictwo Partii.

Ha Thi Que, wywodząca się z chłopskiej rodziny o silnie zakorzenionych tradycjach rewolucyjnych, już wtedy brała udział w pracy partyjnej i w walce partyzanckiej. Nawet w czasie kilkakrotnego macierzyństwa. Ma sześcioro dzieci.

— Nie byłam dobrą matką —owiada półzartem, półserio. — Bardzo często moje dzieci, nawet gdy były jeszcze maleńkie, musiałam powierzać opiece krewnych lub przyjaciół, aby wyruszyć na zwiad, aby nawiązywać łączność pomiędzy oddziałami partyzanckimi, aby spełniać zadania partyjne.

Sześcioro dzieci Ha Thi Que już dorosło. Dwóch synów walczy na froncie. Trzeci studiuje w NRD, cór-

ka zaś w ZSRR. Najmłodsze uczy się w Wietnamie. Córka, młoda studentka chemii ucieszyła się niezmiernie gdy mogła spotkać się z matką w Moskwie w czasie podróży Que z Hanoi do Warszawy. Następny raz zobaczą się chyba dopiero wtedy, gdy córka Ha Thi Que wróci po skończonych studiach do ojczyzny.

Wspomnień i przeżyć towarzyszek Que wystarczyłoby na osobną książkę. Czy pisze pamiętniki? Ależ skąd! Mowy o tym nie ma, pracuje nadal w ruchu kobiecym. Wiele jeździ po kraju. Podróżuje ciężarówkami, rowerem, pieszo, wszędzie tam, gdzie jej obecność jest niezbędna by lepiej toczyła się praca i walka kobiet. Pytam o najcięższe chwile, jakie przeżyła podczas obecnej wojny. Było ich bardzo wiele.

Niebezpieczeństwa zdarzały się często w samej stolicy. Podczas jednego z bombardowań Hanoi uległ zniszczeniu budynek w bezpośrednim sąsiedztwie domu, w którym mieszka Ha Thi Que. Kiedy indziej pocisk spadł na podwórze przed jej domem. W samą porę zdążyła skoczyć do schronu. Podczas podróży śmierć często zaglądała jej w oczy, zwłaszcza na przeprawach rzecznych, szczególnie atakowanych przez amerykańskie samoloty. Pojawiają się w jej wspomnieniach dobrze znane mi krajobrazy, nazwy miejscowości, imiona ludzi.

— Pamiętam przeprawę nocną na drugi brzeg jednej z rzek — wspominała Que. — Ledwie zdążyliśmy wysiąść z łodzi, samoloty zaczęły wściekle bombardować przeciwny brzeg, na którym byłam przed chwilą. Ocalenie to nieraz sprawa przypadku i odrobiny szczęścia.

W „CZWARTEJ STREFIE”

Podobne przeżycia ma za sobą młodsza wiekiem dziennikarka Tran Thi Lan Anh, która nie wygląda wcale na przekroczoną czterdziestkę i na troje dorastających dzieci. Podczas pierwszej wojny wietnamskiej pracowała w wojskowej służbie zaopatrzenia. Mąż jej poległ pod koniec działań wojennych. Pozostała sama z trojgiem drobnych dzieci, które wychowała z pomocą swojej matki. Obecnie syn jest już w armii, obydwie córki uczą się. Anh również przeżyła dramatyczne chwile w Hanoi: podczas jednego z nalotów amerykańskich na stolicę DRW rakietą zapalająca padła na budynek redakcji.

Lan Anh, podobnie jak Que, kilkakrotnie wyruszała do najbardziej bombardowanych okolic Północnego Wietnamu, czyli do tak zwanej „czwartej strefy” (obszary pomiędzy 17 a 19 równoleżnikiem). Te „podróże służbowe” były ohotniczymi wyprawami na front. Lan Anh kierowała czterosobową ekipą korespondentów redakcji pisma kobiecego. Opisywały ucieczki do schronów, eksplozje bomb wybuchających w pobliżu, notowały w schronach przy mdłym świetle kaganka przykłady bohaterstwa ludzi których oszczędziła śmierć i innych, których nie ma już pomiędzy żywymi, których bohaterstwo nie powinno być zapomniane. Każda taka dziennikarska wyprawa na front podejmowana przez kobiety pełniące rolę korespondentów wojennych, mogła być ostatnią w ich życiu. Ale żadna z nich o tym nie myślała, podejmując zadanie, które musiało być wykonane.

Obydwie moje rozmówczynie, wale i drobne, mają za sobą zaprawę wielu długich marszów i pieszych wędrówek w najtrudniejszych warunkach. Obydwie, prócz jazdy na rowerze, umieją pływać i wiosłować. Jest to konieczne na wypadek gdy niebezpieczeństwo zaskoczy je pośrodku rzeki, gdy nieprzyjacielska bomba celnie trafi w łódź, ponton czy prom.



Przewodnicząca Związku Pisarzy Mongolskich pani Udval.

— Co was najbardziej wzruszyło i zaniepokoiło podczas pierwszego pobytu w Polsce, podczas podróży w rzeszowskie i wrocławskie?

Odpowiedzi padają bez wahania:

— Wszyscy tu wiedzą gdzie leży nasz kraj. Wszyscy znają naszą walkę. Kobiety polskie ofiarowały nam piękny dar, nieoceniony „Dar Serca”. Będziemy o tym pamiętać i opowiemy o tym u nas w kraju.

W „CHUDONIE”

Udval jest w Polsce po raz czwarty. Przyjechała z kraju pięciokrotnie większego niż nasza ojczyzna, w którym mieszka jednak zaledwie jeden milion trzysta tysięcy ludzi. Przyjechała z Mongolii, nad którą od wielu już lat rozpościera się spokojne niebo.

Udval wiele podróżuje po świecie. Dwa nurty jej zainteresowań i obowiązków wyznaczają trasy jej podróży. Udval jest bowiem przewodniczącą Związku Pisarzy Mongolskich. Kobieta-literatka jest w tym kraju dotychczas niewiele: około dziesięciu na stu kilkudziesięciu pisarzy. Udval jest autorką wybitną, znaną nie tylko we własnej ojczyźnie ale i poza jej granicami. Zaczęła swą twórczość od poezji, i do poezji teraz powraca. Głównym jednak jej żywiołem jest proza. Píše powieści i opowiadania. Niektóre z nich stały się kanwą scenariuszy filmowych, film „Powódź” uzyskał szerokie zainteresowanie i

zdołał w Moskwie nagrodę Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Mongolskiej.

Wiele słyszałam o Udval, zanim ją poznałam. Czytałam niektóre jej utwory w przekładzie rosyjskim. Najbardziej przykuwające spośród nich jest opowiadanie „Dziewczyna w Gobi”. Można w nim znaleźć wiele pasjonujących momentów autobiograficznych. Bowiem pisarka i działaczka Udval wraz z całym swym narodem przeżyła „wielki skok” ogromnego rozwoju w naszych czasach. Rewolucyjne przemiany wyprowadziły dawny koczowniczy naród mongolski na nową drogę. Rewolucyjne przemiany prowadzą do rozwoju kraju, do przeobrażeń nie tylko w osadach i miastach, ale w życiu każdego człowieka. Dbałość o zdrowie dzieci, rozbudowa sieci poradni i ośrodków leczniczych dostosowanych do miejscowych warunków, ciepławe i wytrwałe pokonywanie przesądów w zakresie pracy, obyczajów, i wyzwanie dyktowane od wieków przez religię lamaicką (np. zakaz jedzenia ryb rzecznych i drobiu, zakaz uprawy roli), starania, by do jak najdalszych ajmaków (województw) docierały wędrownie ekipy lecznicze, weterynaryjne, kulturalno-oświatowe — oto niektóre z najpilniejszych spraw. Wiele do zrobienia mają tu kobiety mongolskie. W tych też pracach bierze stale udział pisarka Udval. Często jeździ w chudon, czyli w teren. Zna doskonale swój kraj. I ludzie również ją znają, cenią i lubią.

— W chudonie niepotrzebny mi hotel — uśmiecha się. — Wystarczy samochód gazik, namiot i ognisko na stepie. Nie, nie mogę porzucić ani zaniedbać pracy społecznej na rzecz pracy literackiej. Teraz i tak łatwiej mi gościć te obowiązki niż dawniej: czwórka moich dzieci podrosła, troje studiuje, w domu pozostał tylko najmłodszy syn. Gdyby nie bliskie związki z życiem mojego kraju, ze sprawami i troskami którymi żyje naród, nie mogłabym napisać moich utworów, poczynając od „Dziewczyny z Gobi”, powstałej w latach młodzieńcych, aż po sztukę „Słońce między obłokami”, która będzie wystawiona niebawem, na pięćdziesięciolecie ludowej Mongolii.

Udval ma tyle lat, ile liczy ludowa władza w jej ojczyźnie. I jej los kobiety, działaczki, pisarki zespolił się nierozłącznie z krajem rozległych stepów, bezkresnego nieba i wielkich przeobrażeń, jakim jest Mongolia.

O K S I A Ź K A C H

ZBLIŻA się święto najpiękniejsze z pięknych — Dzień Matki. Wśród upominków, jakie wręczymy z tej okazji najdroższym nam Osobom, z pewnością nie zabraknie książek. Matki — wiadomo — lubią lekturę, która przemawia do wyobraźni, porusza serca. Chyba więc przypadną im do gustu nasze dzisiejsze propozycje:

Janina Zajacówna „Oszary lęk”. Autorka, z zawodu psycholog, sugestywnie przedstawia konflikty zawodowe i uczuciowe młodej dziewczyny, wchodzącej w samodzielne życie. Czytelnik, cena 17 zł.

Stanisława Fleszarowa-Muskat „Pozwólcie nam krzyknąć”. Czwarte wydanie powieści poczytnej pisarki, lubianej zwłaszcza przez kobiety. Jest to pierwsza część trytomowego cyklu (tom drugi „Przerwa na życie”; tom trzeci „Wizyta” jest już przygotowany do druku), stanowi jednak

zamkniętą całość. Wydawnictwo Morskie, cena 40 zł.

Dwie głośne powieści klasyki francuskiej literatury **Honoriusa Balzaka: „Ojciec Goriot”** (wyd. 13) i **„Eugenia Grandet”** (wyd. 5). Obie w tłumaczeniu Tadeusza Zelenkiego-Boya. Czytelnik, cena po 10 złotych.

Robert Wolfgang Schnell „Wychowany przez służącą”. Zachodniemiecki pisarz opowiada wzruszającą historię dziecka, które nie znalazłszy tliwłości i ciepła w zamożnym rodzinnym domu, wstąpiło do sierotki swojej uczucia przelewa na prostą dziewczynę z ludu. Rzecz dzieje się w Nadrenii w okresie rewolucji 1918 roku. Przełożył Tadeusz Zabłudowski. Czytelnik, cena 13 zł.

Jara Ribnikar „Zwycięstwo i klęska”. Pisarka jugosłowiańska na tle walk partyzanckich na terenie Bośni rysuje dzieje niezwykle miło-

ści. Bohater książki, Stefan, zakochał się mianowicie w... niemieckim szpiegu. Przełożył Zygmunta Stoberski. Czytelnik, cena 15 zł.

Odmieńmy nastrój. Oto książka, która pobudzi nasze mamy do serdecznego śmiechu: **Jadwiga Rutkowska „Różnica płci”.** Ilustrował Władysław Brykczynski. Czytelnik, Biblioteka Satyry, cena 17 zł.

Wreszcie dwie pozycje, które warto mieć w domowej bibliotece. Przydadzą się każdej mamie, a miętmy nadzieję, że i niejednego pan domu zechce po nie sięgnąć: **Barbara Kalkhoff „My i nasi goście”** — czyli wskazówki, jak urządzić skromne domowe przyjęcia oraz **Andrzej Zarzycki „Zmechanizowany sprzęt domowy”** — czyli jak użytkować i konserwować domowe lodówki, pralki odkurzacze, froterki itd. Obie książki wydała „Watra”. Cena po 13 zł.

„PRZYMIARKI”

Biurowcomasacyjne w Wielgostawiu mieści się w dwóch izbach wynajętych od gospodarza. Na ścianach powieszono mapy i plany. Różnokolorowe szpileczki wskazują pola już wymierzone, miejsca aktualnie dokonywanych pomiarów, i... punkty sporne, aktualnie badane przez komisję.

Z blisko trzech tysięcy działek, kształtem przypominających krawaty, niełatwo jest wytyczyć jednolite kompleksy pól dla gospodarstw o różnych wielkościach.

*

W Wielgostawiu wszyscy marzyli o komasacji i gdy tylko wyszła w tej sprawie ustawa — natychmiast podpisali się pod petycją skierowaną do władz powiatowych.

— To dopiero była robota! Na przykład nasze niespełna siedmiohektarowe gospodarstwo składało się dotychczas z 37 działek. Na niektóre z nich nawet siewnika nie można było wprowadzić — wspomina Bożena Olkuśnik.

Za klasyczny przykład przedkomasacyjnej drobnicy mogło służyć gospodarstwo Sowińskich: niespełna 8 ha gruntów ornych, łąk i pastwisk, pokawałkowanych na 63 części! Długie godziny trzeba było marnować na dojazdy do rozproszonych działek; wiele hektarów ziemi leżało zmarnowanych pod miedziami i polnymi drózkami.

Przy okazji scalania gruntów, niektórzy właściciele gospodarstw chcieliby jednak upiec dodatkową pieczeń.

Janina Okęcka na przykład nie godzi się na przyjęcie proponowanych jej dwóch działek. Jedna z nich położona jest tuż przy gospodarstwie, druga o kilometr dalej. Gospodyni pragnęłaby, aby obie przylegały do siebie i to tuż koło domu. Podobne rozszerezenia wnosi kilku innych gospodarzy. A przecież powierzchnia gruntów wokół zabudowań jest ograniczona. Pola rolników z Wielgostawia ciągną się zagonami, prawie cztery kilometry, hen aż po las, koło wsi Ostrówek.

*

Przed przystąpieniem do scalenia gruntów władze rolne i gromadzkie ustalały warunki rozwojowe poszczególnych gospodarstw.

Genowefa Muszyńska ma 72 lata. Kiedyś prowadziła gospodarstwo liczące blisko 7 hektarów. Ale gdy brakło już sił do pracy wydzierżawiła ziemię. Pragnęła ją przekazać w zamian za rentę. Jednak władze powiatowe nie chciały przejąć drobnicy, bo komu ją przekazać w użytkowanie? Teraz Muszyńskiej przydzielono pole w jednym kompleksie, w sąsiedztwie gruntów Państwowego Funduszu Ziemi. Po komasacji nie będzie już trudności z przejściem gospodarstwa i przyznaniem renty jego właścicielce.

Podobnie jest z ziemią należącą do 70-letniego Zdzisława Mularczyka, który również nie ma następców.

W kilku innych przypadkach właściciele gospodarstw, którzy przedtem chcieli już zrezygnować z ich prowadzenia, teraz zmienili decyzję.

Stanisław Bartkowiak żył tylko z tego, co mu dzierżawcy dali za uprawę jego zagonów. Obecnie, gdy po scaleniu ziemi okazało się, że można stworzyć ładne 7-hektarowe gospodarstwo — zjawił się bratanek, deklarując gotowość przejścia ziemi w zamian za dożywocie. Wymaga jednak, aby była ona wydzielona w pobliżu wsi.

Prace scaleniowe w Wielgostawiu przeciągają się. Geodeci starają się uwzględnić propozycje poszczególnych gospodarzy. Ale... brak jest zgody między samymi rolnikami, rodzinami i powinowatymi we wsi.

Jan Ryznarski już drugi raz przychodzi do biura komasacyjnego. Najpierw chciał, aby jego 2-hektarowa działka była położona po sąsiedztwie z polem zięcia Stanisława Chrzanowskiego. Wkrótce zmienił zdanie. Pogniewał się z ziemiem i teraz twierdzi, że ziemię przekaże synowi Kazimierzowi. Wobec tego pragnie ją zlokalizować w sąsiedztwie jego gruntu.

*

Wiele spraw spornych, czy jeszcze nie ustalonych propozycji wynikających z układów rodzinnych mogłaby rozpatrzyć komisja scaleniowa. Jej przedstawiciele zostali wybrani przez ogół mieszkańców. Komisja jednak uchyla się wyraźnie od konkretnego działania.

— Mamy już dość wrogów we wsi. Nawet własny brat

ze mną nie rozmawia bo uważa, że mu za daleko wydzielili pole i nie to, które chciał — mówi członek komisji, sołtys Jan Kapela.

— Ludzie zaraz podejrzewają, że człowiek trzyma czyjąś stronę, albo, że ubija własny interes — dodaje inny członek komisji, Stefan Warzęcki.

Mieszkańcy wsi dobrze rozumieją korzyści z komasacji. Ale z pewnością ten czy ów gospodarz nie będzie w pełni zadowolony, gdy nie ziści ona wszystkich jego pragnień. Geodeci zajęci technika pomiarów nie są w stanie wyważyć wszystkich często bardzo osobistych racji rolników. Potrzebne są nieraz długie rzeczowe rozmowy. Dlatego wydaje się, że „chowanie głowy w piasek” przez członków komisji i aktyw wiejski przedłuży tylko prace scaleniowe. A przecież jest to dopiero okres „przymiarki” i wiele spraw można jeszcze wyjaśnić i skorygować. Idzie o stawkę poważną: ziemia rozbita dotychczas na grządki i zagoni dopiero po scaleniu może być właściwie przez rolników wykorzystana.

*

Przebieg wykonania ustaw o scaleniu i wymianie gruntów był ostatnio tematem ob-

rad sejmowej Komisji Rolnictwa i Przemysłu Spożywczego. Zdaniem posłów — źródłem wielu trudności we właściwym przeprowadzeniu komasacji są przepisy, które mówią, że jeżeli 50 procent rolników z danej wsi wystąpi z wnioskami o scalenie gruntów, wówczas płacą oni 300 zł za hektar. Natomiast komasacja prowadzona z urzędu (w przypadku oporów rolników) jest bezpłatna, co stanowi niezamierzoną przez ustawodawcę premię dla opornych. Członkowie sejmowej komisji postulują więc, aby opłaty za scalenie były obniżone, zaś wprowadzenie gospodarza na skomasowany grunt nastąpiło przed 15 września, to jest przed rozpoczęciem prac jesiennych.

Jest rzeczą wiadomą, że powodzeniem małej ilości wniosków o scalenie gruntów jest także obawa rolników przed otrzymaniem gorszej ziemi. Ponadto jeśli gospodarz dostawał z wymiany działkę z Państwowego Funduszu Ziemi, przysługiwały mu ulgi w świadczeniach; natomiast gdy rolnikowi przypadła ziemia np. z gospodarstwa prywatnego, ale podupadłego, ulga była znacznie mniejsza. Uznając to różnicowanie za niesłuszne — minister Finansów wydał zarządzenie (Monitor Polski nr 20 z 6 kwietnia br.), które wprowadza jednakowe zwolnienia i ulgi od podatku z gruntów PFZ i z gruntów prywatnych.

MARIAN BOJANOWICZ

Z naszej poczty

Pomożemy

Kochana „Przyjaciółko”. Z radością powitaliśmy decyzję naszej Partii i Rządu o cofnięciu podwyżki cen na artykuły żywnościowe i z całego serca dziękujemy za to Kierownictwu Partii.

Z radością będziemy witali każde Plenum Partii, bowiem tam będzie się myśleć o nas ludziach fizycznie i ciężko pracujących.

My zaś powinniśmy nie tylko brać ale i pomagać Państwu lepiej i wydajniej pracując.

Ja pracuję jako sprzątaczką, ale nie w zakładzie produkcyjnym, więc tu niewiele pomogę. Ale mam inny plan. Kupiłam świniaki i gdy je utuczę sprzedam Państwu. Choć ciężko, bo trzeba o 5 rano wstawać żeby przygotować śniadanie dzieciom i mężowi i dać świnkom, a potem iść do pracy, ale robię to z wielką satysfakcją, bo to moja cegiełka, ale z takich cegiełek powstaje nasz „Wspólny Dom”. A z drugiej strony chcę zaangażować do wszystkich gospodyń wiejskich, które mają większą możliwość prowadzenia hodowli niż w mieście, żeby zechciały się włączyć do akcji zwiększenia hodowli trzody chlewnej, która tak jest bardzo nam potrzebna.

Stanisława Wojtyśiak
Goleniów, woj. szczecińskie

TEATRALNY MOST

Do suwalskiego kina schodzi się publiczność. Nie na film. Tym razem przyjechał teatr z Białegostoku. W programie ma dzisiaj „Czarna komedia” P. Shaffera.

— *Zastanawiałam się, czy ta przekorna, satyryczna sztuka u nas chwyci* — powiedziała nam po przedstawieniu pani Halina Milejczyk, młoda kierowniczka suwalskiej ekspozytury spółdzielni turystycznej „Gromada”. — *Na szczęście podobała się naszym wiejskim widzom. Wyrobili sobie dobry gust, gdyż często bywają w teatrze. Sprawdzamy zespoły do nas, albo urządzamy wyprawy do teatrów w większych miastach.*

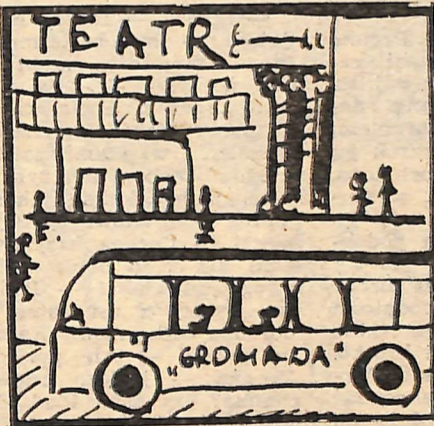
Spółdzielnia „Gromada” od dwunastu lat rozwija na Białostocczyźnie działalność na pograniczu turystyki i kultury. Za tę działalność białostocki oddział spółdzielni otrzymał już kilkanaście dyplomów i podziękowań. W ostatnim, najświeższej dacie, czytamy: „Zespół teatru im. Węgierki składa serdeczne podziękowania za osiągnięcia w popularyzacji teatru”.

Zespół ten podpisał porozumienie o stałej współpracy z „Gromadą”. Gdy teraz teatr im. Węgierki wyrusza do Łomży czy Olecka, ma już z góry zapewniony komplet widzów. Pracownicy „Gromady” sprzedają bilety na przedstawienia w miastach i okolicznych wsiach, i nawet rozwieszają afisze teatralne.

Przed każdym występem kierownik literacki teatru wyjaśnia widzom zawłóci sztuki. Repertuar dobierany jest zgodnie z potrzebami kulturalnymi wiejskiej widowni. Rozsyłane są też na wieś szczegółowo opracowane programy teatralne. Ostatnio teatr im. Węgierki wspólnie z „Gromadą” zaplanował trzy spektakle pod gołym niebem, na rynkach miasteczek Ciechanowca i

Brańska, oraz na stadionie w Szepietowie. Wszystkie te przedstawienia zakupione zostały przez miejscową spółdzielczość.

Na Białostocczyźnie prawie 150 tysięcy osób rocznie jeździ do teatrów. Z niektórych powiatów na przedstawienia Teatru Wielkiego w Warszawie i Opery w Łodzi wyruszają całe „kolorowe pociągi”. Zamówione wagony są barwnie udekorowane, w przedziałach grają akordeoniści, podróż umiła piosenka.



Rys. G. Staszko

Mieszkańcy wsi chętnie korzystają z usług „Gromady” — bo — jak mówią — „wszystko zawczasu zorganizowane, zapewniony przejazd, kupione bilety”. Rolnik, zwłaszcza zaś gospodyni wiejska, nie ma czasu na niepewne wyprawy do miasta: czy będą w kasie teatru bilety? Czy dostaną się na PKS? Ostatnio — koło gospodyń z Suraza oglądało w Białymstoku zespół „Śląsk”,

Jasne, że lepiej oglądać taki zespół na scenie niż w telewizji — mówią. — Bardzo dobrze, że przyjechali do nas z tak daleka.

Dyrektor Leszek Koralewski z białostockiej „Gromady” umiał nakłonić do przyjazdu wielki zespół i uzyskał salę teatru na kilkanaście występów, „Gromada” musiała w tym czasie zapewnić wyjazd całej ekipy teatru im. Węgierki do trzech miast powiatowych. Zorganizowała też „most autobusowy” przewożąc wahałowymi kursami tysiące widzów na spektakle „Śląsk”. Z samego tylko powiatu Suwałki wybrało się na te występy 2000 osób!

Białostocka „Gromada” daje dobry przykład innym wojewódzkim oddziałom tej spółdzielni turystycznej. W oddziale białostockim 80 procent klientów korzysta z imprez kulturalnych, podczas gdy w pozostałych oddziałach „Gromady” liczba ta jest o połowę mniejsza.

Na tym nie koniec. Korzystając z tego, że codziennie lokale oddziału wojewódzkiego i ekspozytur „Gromady” odwiedzane są przez licznych interesantów, nawet przez całe wycieczki, postanowiono urządzić tam wystawy artystyczne. Artysta rzeźbiarz, Marian Giebuła nawiązując w swej twórczości do sztuki ludowej, przygotował ekspozycję. Gotowa jest pierwsza w kraju wystawa sztuki w biurze turystycznym. W najbliższej przyszłości „Gromada”, przy współpracy Białostockiego Towarzystwa Kultury, zamierza urządzić w swych lokalach wystawy prac twórców ludowych.

Trzeba mieć dużo społecznej pasji i dobrze rozumieć potrzeby wsi, aby tak szczęśliwie łączyć turystykę z upowszechnieniem kultury. Dlatego też białostockiej „Gromadzie” przyznano zespołowo odznakę „Zasłużony dla rozwoju kultury województwa”, odznakę Tysiąclecia i szereg innych wyróżnień.

Janusz Trzcianka

RAJSKA JABŁOŃ

(54)

Wobec nagłego zgonu aptekarza, męża Amelii, wezwany lekarz z sąsiedztwa uchyla się od wiążących orzeczeń.

— No, tak. Ale ja nie mogę wystawić świadectwa zgonu! Trzeba dać znać lekarzowi dzielnicy... Takie wypadki... komisariat... — Amelia poruszyła się wreszcie, aby podejść do okna i otworzyć je szeroko. Po czym powróciła i uklękła przy łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pani Raczyńska chlipnęła, Jan wyprawił doktora i bardzo błady stanął w drzwiach. Nagle rozległ się cichy i spokojny głos Katarzyny:

— Mój pan miałby się otruć? Taki religijny człowiek? Jeszcze przedwczoraj był u spowiedzi... A pan takie głupstwa mówi! Otruł się!

Pani Raczyńska przerwała modły.
— Nieumyślnie, Katarzyno, nieumyślnie! Ach, Boże, Boże, Boże, — wypadek! I już! Gdyby ten doktor przybył wcześniej, gdybym ja tu wczoraj była, gdyby...

Amelia jęknęła. Pani Raczyńska ucichła. Jan zbliżył się i pochylił nad swą kochanką. Pani Raczyńska widziała, jak ją dźwignął pod łokcie i podniósł. Ten porządny człowiek, ten prawdziwy przyjaciel w nieszczęściu! Gdy wyprowadził Amelię z pokoju, pani Raczyńska, odmawiając wieczny odpoczynek, wyjęła prześcieradło z bielizniarki i zakryła nim nieboszczyka.

XVIII

Aa, a! wspaniale, wspaniale! — Poczawszy od progu przedpokoju Bronka złożyła szereg ukłonów w stronę szaf, stołków, obrazów i wszelkich luksusów nowego mieszkania Cechny. Nie zdejmując pałta, przedfilowała przez trzy pokoje, nowoczesne, niskie, ale szerokie. — Czy zajęłyście cały parter?! Tak, tak, na górze mieszka tylko gospodarz! — Zuzanna w podskokach towarzyszyła jej trop w trop, pęczniąc z zadowolenia. Nie trzeba chyba dodawać, że ciotka Bronka ze wszystkich ciotek najbardziej imponowała Zuzannie, choć matka mówiła o niej zawsze z westchnieniem i zmarszczką na czole. Wraz z ciotką Bronką wchodziło do mieszkania tysiące możliwości, to się czuło.

(...) — Zadzwoni i każ niewolnicy podać herbatę — rzekła wspaniale Bronka siadając na tapczanie. Zuzanna uczyniła to. Matka zawsze sama dreptała po herbatę. Zuzanna nakryła i przysunęła mały stolik. — Ale dlaczego się nie rozbierzesz? — spytała. — Mama zaraz nadejdzie. — Bo mi się nie chce, zresztą ja tylko na chwileczkę! — Wybuchnęły śmiechem, po czym zerwały się, ponieważ usłyszały pisk i trzask żelaznej furtki wejściowej. — To matka!... — Cechna, obciążona paczkami, szła ścieżką w stronę domu. Bronkę uderzył jej niewyraźny uśmiech pod kapeluszem. Nagle Zuzanna krzyknęła: — Co to? czekolada?! — To dla ciebie od pani Piędzickiej — rzekła Cechna.

Aha, stąd pochodzi jej zakłopotanie. Bronka uczuła nowy przypływ humoru i nieomal zawyla: — Co? prezent od Magdaleny? dawaj tu, Zuza, nie waż się zjadać sama! — Cechna odechnęła i pomyślała z pewnym politowaniem: „Odgrywać się na czekoladkach!” Nagle wzrok jej zatrzymał się na Zuzannie, gdy tak pochyłona wraz z Bronką nad otwartym pudełkiem, wyszukiwała najlepsze kaski, i zadrgała.

— Co za podobieństwo! Jakże ta Zuza podobna do ciebie!

Sens tego okrzyku był tak jaskrawy, że Bronka spłonęła obrazą. Lecz natychmiast podniosła głowę i rzekła: — No, to wcale nie jest takie złe, jak ci się zdaje! — Sucho, dumnie i krótko. — One mnie biorą za coś w rodzaju Marii Prymas, to wspaniale! — Wobec tego mogła zsunąć z ramion płaszcz i ukazać nieodpowiednią na tę porę dnia i roku suknię, przejrzystą, koloru dymu. Wstążki bielizny przebijały przez nią bladem blaskiem atlasu.

— Co za cudo! Ile to kosztuje?

— Jesteś źle wychowana — rzekła Bronka. — Nie należy pytać o cenę. Ładne, co?

Cechna zacisnęła usta, po czym rzekła: — Zuzanno, wyjdź, chcę porozmawiać z ciotką Bronką... — Bronka mruknęła: — Tak, tak, idź pobiegać, moje dziecko, po ogródku... — Ledwie drzwi zamknęły się za Zuzanną, Cechna załamu-

jąc ręce szepnęła: — Co ty robisz, Broniu! stracisz go, stracisz!

Bronka zbladła. Trwało to tylko moment, po czym fala dymu przepłynęła przez jej twarz, a ochrypliły głos rzekł: — Przesada. Czy ja go kiedy miałam? — Cechna nie mogła zrozumieć tej gry, tego udawania, tej dumy zabraniającej uznać swój błąd. Przecież Piędzicki to ostatnia stawka Bronki, ostatni ratunek! W ciszy, jaka nastąpiła, Cechna usiłowała szukać jakiejś drogi dla swej szalonej przyjaciółki, ale nie znalazła jej. Ta leniwa, niedbała, nie umiejąca się z niczym liczyć Bronka! Co się z nią stanie?

— Był tam? — spytał głuchy głos.

— Tak, tak.

Wracała właśnie z wielkiego zebrania towarzyskiego u pani Magdaleny. I choć tyle jej zawdzięczała, nie mogła przez cały czas wyżyć się przeregowań wspomnienia Bronki. Piędzicki był tam i nawet najwprawniejsze oko nie mogło w nim widzieć gościa, lecz tylko i wyłącznie gospodarza domu. Ci, co wiedzieli o istnieniu Bronki, szepotali coś o „przemijającym potknięciu”. A przecież jeszcze tak niedawno, a propos jakiejś jasnej toalety, Magdalena sama bąknęła Cechnie coś o mającym nastąpić rozwodzie. Teraz nie ma o tym mowy!



Rys. A. Uniechowski

— Ignacy — rzekła Bronka rzeczowo a wymijająco — ma bezterminowy urlop z ministerstwa... Wyjeżdża... „robi w terenie”, uprawia teraz politykę! — Usta jej wykrzywiły się cieniem, uroczym uśmiechem: — Coś mi się zdaje, że pan Piędzicki interesuje się teraz bardzo i wyjątkowo... związkami zawodowymi... — Ku zdumieniu Cechny uderzyła lekko palcami w swe usta, jakby tknięta jakąś myślą, i wydała cały szereg pomruków: Czyżby? co? nie, nie! a jednak?! — Cechną krzyknęła z rozpaczą: — Słuchaj, ale co to ciebie obchodzi! Ty pilnuj go jako swego człowieka! — Pomyślałaby kto, że te słodrodna córka mamy Raczyńskiej, szybko ta Cechna jedzie! — Ale pozwól — rzekła wymownie Bronka — jakiego człowieka? czy mojego kochanka? czy pana Piędzickiego, który tak gorąco interesuje się... związkami zawodowymi? Powiedz mi lepiej, kto tam był? — Towarzystwo zgrane czy mieszane?

— Bardzo mieszane...

— A, no widzisz. Chłopotmani, apostołowie robotników?... O czym rzecz szła? — Cechna, wymyślając sobie od domowych szpiegów, bąknęła: — Raczej robotników. Ale błagam cię, Bronko, jeśli jeszcze możesz, masz wpływ, to przyjdź do rozwodu! — Jak ona to powiedziała? „Przyjdź” i krzyknęła w stronę otwartego okna:

— Zuzanno, możesz wejść, dziecko moje! Pojedziesz z ciotką na czekoladę, dryndą!

Patrząc na nią spod oka, Cechna zrozumiała, nagle, że Ignacy mógł dla niej odejść od pięknej Magdaleny i pięknego domu i mógł powracać, znudzony. Tak samo jak i Zuzanna, która w mgnieniu oka ubrała się nie pytając o pozwolenie i w berecie i granatowym płaszczku stała już gotowa do drogi. A przecież nie widziała matki prawie cały dzień. I odchodzi tak łatwo!

— Czemu nie pójdziesz razem z nami, mamo?

Zanim odpowiedziała, rozległ się dźwięk dzwonka u furtki. Zuzanna wyrzała. — To Katarzyna od ciotki Amelii! — Cechna krzyknęła: — Co się stało?! Mój Boże, mama! — Jej krzyk skierował Katarzynę, zamiast do drzwi, pod okna.

— Pani starsza prosi, żeby pani zaraz przyjechała; pan umarł.

Jadąc taksówką, podczas tej szybkiej drogi na Leszno, ani Cechna, ani Bronka nie zdawały sobie sprawy z tego, co się stało. Katarzyna zachowała się mrukliwie. — Pan położył się z wieczora jakby nigdy nic, a rano nie obudził się i już... — Siedząc na przedniej ławeczce taksówki obok Zuzanny, skubała w zamyśleniu frędzle swego czarnego jedwabnego szala, z powiekami opuszczonymi, z twarzą bladą i surową. Dzięki tej dyskrekcji przybyłe znalazły się przed domem na Lesznie wobec tajemniczo szepczących grup ludzi, bab w chustkach, panien sklepowych, służby kościelnej i pobożnych panius wychodzących właśnie ze zebrania. Cechnę ogarnęło złe przecucie; pożałowała, że wzięła ze sobą Zuzannę.

Uspokój się! — rzekła Bronka. — Pogrzeb to dla nich gratka.

Pani Raczyńska otworzyła drzwi, z twarzą rozczwienioną od płaczu. Taki porządny człowiek taki zacny! — Ale co się stało tak nagle, mamo? — Pani Raczyńska zapomniała o łzach i odpowiedziała wprost: — Ja sama nie wiem, moja droga, wziął na sen i zatrul się. Ciągłe narzekał na bezsenność i nawet prowizor zalecił mu kwiat pomarańczowy.

Prowizor? Cechna i Bronka spojrzały na siebie i odwróciły się gwałtownie. Pani Raczyńska dostrzegła ten ruch i przestraszyła się. — Tylko nie odchodźcie, moje drogie, nie zostawiajcie nas samych! Cechna szepnęła: — Gdzie on leży, mamo? — i ruszyła naprzód. Pani Raczyńska, idąc za nią odpowiedziała: — Gdzie leży? nie ma go, zabrali ciało i już. Biedaczysko, nawet po śmierci nie ma tego spokoju co go tak lubił.

Ostąpiła Cechna osunęła się na krzesło w jadalni. Zuzanna rozszerzonymi oczyma spoglądała wokół, jakby widząc wszystko tu po raz pierwszy. Bronka, wspominając pogrzeb Frani, jej samobójczą śmierć, szepnęła: — Tak być musi, zrobią sekcję.

— Gdzie Amelia?

Okazało się, że Amelia wyszła zaraz po zabraniu zwłok, aby załatwić różne formalności związane z pogrzebem. Pani Raczyńska przyłożyła palec do policzka i twarz jej wyraziła głęboki namysł. — Gdzie to może być? — Co, mamo? — Testament. Przecież to niemożliwe, żeby taki poważny i akuratywny człowiek umarł bez testamentu.

— Ach, mamo!

— No, moja droga, już mi nikt nie może zarzucić, że nie kochałam nieboszczyka, że nie dbałam o niego. Ale przecież testament musi gdzieś być. Nieboszczyk nie miał bliższej rodziny... — Pani Raczyńska miała więc już teraz drugiego nieboszczyka i o nim tylko mówiła. — Siedzimy z założonymi rękami i nic nie możemy dla nieboszczyka zrobić, póki nam go nie oddadzą i nie pozwolą zająć się pogrzebem. Siadaj Zuzanno, nie stój tak koło mamusi, zaraz podam herbatkę.

Rozległ się cichy dźwięk dzwonka i weszła Amelia czarno ubrana, blada i milcząca. — Ach, ci ludzie przed bramą! Jakie to okropne! — Przywitaj się w milczeniu. Amelia rzekła: — Dziękuję ci Broniu, że i ty przyszedłaś... — Musiała przejść przez chodnik, między grupami ludźmi, i cisza, jaka nastąpiła na jej widok, napełniła ją strachem i przerażeniem. — Wystarczyło, że zjawił się w domu policjant, i już mają sensację. — Cechna podniosła głowę: — Jak to, była tu policja?... — Pani Raczyńska rzekła z ożywieniem: — Ach, moja droga, całe popołudnie nas mordowali, przepytawali, taki sympatyczny nawet ten przodownik z naszej dzielnicy, ale trudno, musiał robić, co mu kazali... — Cechna opuściła głowę: zdawało jej się, że ta rozmowa kryje w sobie coraz gorsze niespodzianki. Amelia zerwała się z krzesła i szepnęła z nie skrywaną złością.

— Wszystkie przez tę idiotkę — Katarzynę! Gdyby nie ona, stwierdziliby przypadkowe zatrucie. Ale jak wtrąciła swoje trzy grosze podczas bytności policjanta... no, trzeba było to widzieć! Jej pan, taki religijny, miałby się otruć! Jej pan, lipa posłużył jej za dowód — jej pan, który się cieszył takim apetytem, miałby odejść od życia! — Amelia, nerwowo krążąc po pokoju, z furją poprawiała co chwila kołnierzyk, jakby ją dusił...

DROGA POWROTU

Boguś dopina wokół nówek pasy aparatu ortopedycznego. Ma dopiero 6 lat. Magister wychowania fizycznego pomaga dziecku umocować aparat, potem z uśmiechem proponuje: „Pokaż, jak umiesz chodzić”.

Chłopiec waha się, wreszcie zsuwa nogi na podłogę, staje i powoli rusza...

— Świetnie! Znakomicie! Lepiej niż wczoraj — chwali doktor, który wszedł właśnie do salki.

Boguś ma wrodzone zmiany w stawach biodrowych. Do niedawna nie potrafił nawet samodzielnie siedzieć. Dzisiejszy popis to efekt kilkumiesięcznego pobytu w sanatorium — u silnych zabiegów lekarzy, kinezyterapeutów, właściwego aparatu ortopedycznego.

Przez drugą salę gimnastyczną prowadzi w stronę okna ślad stóp znaczone różowym kolorem, w kierunku przeciwnym — niebieskim. Na trasie różowych stóp, posuwając przed sobą balonik, krok po kroku wędruje Alinka; ćwiczy naukę chodzenia. Obok wsparty o kule, w specjalnych aparatach „maszeruje” Antek. Ma osiemnaście lat; trzynastę z nich przeleżał w łóżku. Ciępi na wrodzoną łamliwość kości, kilkadziesiąt razy łamał sobie nogi. Nikt z rodziny specjalnie się tym nie przejmował. Dopiero młody lekarz z pobliskiego Ośrodka Zdrowia zainteresował się pacjentem i po kolejnym złamaniu skierował go do sanatorium. Tu przeszedł operację, a potem długą kurację: masaże, naświetlania, gimnastyka, żmudne, nużące ćwiczenia... Dziś Antek stawia pierwsze kroki. Niedługo odrzuci kule i będzie mógł chodzić samodzielnie w aparatach ortopedycznych...

*

Jesteśmy w Sanatorium Rehabilitacyjno-Ortopedycznym dla dzieci. Dwupiętrowy stary budynek na Poświętnym, leży w parku, z dala od śródmieścia Wrocławia. Pod oknami

biało-różowo kwitnie magnolia, opodal widać czerwony żwir boiska do gry w piłkę. Przy alei wjazdowej surowe mury budynku, w którym będzie się mieściła wojewódzka przychodnia rehabilitacyjna.

Wrocławskie sanatorium jest jednym z kilku na terenie kraju. Od wielu już lat kieruje nim dr Zbigniew Krynicki, zarazem wojewódzki specjalista do spraw rehabilitacji. W sanatorium przywraca się sprawność ruchową kalekim dzieciom. Jest tu odpowiednio wyposażona sala operacyjna, są także warsztaty ortopedyczne, które zaopatrują młodocianych pacjentów w protezy, obuwie i inny sprzęt (aparaty, gorsety, wózki).

Równoległe z leczniczą prowadzona jest rehabilitacja społeczna. Dzieci uczą się w normalnej szkole podstawowej i liceum, zdają matury. Mają takie same szanse nauki jak ich zdrowi rówieśnicy. Pobyt w sanatorium trwa od kilku miesięcy do kilku lat, w zależności od potrzeb. Sanatorium współpracuje z Zakładem

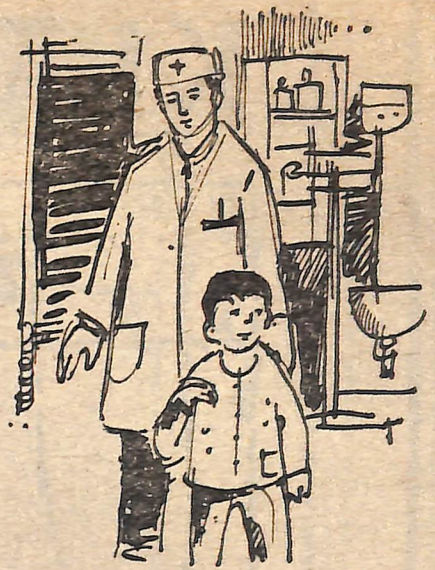
Szkolenia Inwalidów we Wrocławiu, gdzie wielu wychowanków, po osiągnięciu maksymalnej sprawności ruchowej, uczy się zawodu i zyskuje szansę powrotu do społeczeństwa.

Po okresie rehabilitacji w sanatorium, dzieci wracają do domów. Nie wszystkie jednak. Są rodzice, którzy przez cały czas odwiedzają swoje pociechy, interesują się ich wynikami w nauce i postępami w rehabilitacji. Ale bywają i tacy, dla których kalekie dziecko jest ciężarem, którego chcą się pozbyć. Co prawda sanatorium jest w kontakcie z Zakładem Wychowawczym dla dzieci kalekich w Plakowicach, ale jak z naciskiem podkreśla doktor Krynicki, nawet najlepszy zakład nie zastąpi rodziny. Dziecko kalekie szczególnie potrzebuje rodzinnej serdeczności, ciepła, opieki i pomocy. Bez tego niemożliwa jest prawidłowa i pełna rehabilitacja.

*

W rehabilitacji inwalidów szczytami się osiągnięciami na skalę światową. W maju obradował pierwszy w Polsce kongres rehabilitacji. Naukowcy z różnych dziedzin dzielili się doświadczeniami w tej dziedzinie.

Z dzieci, o których dziś piszemy, wyrosną dorośli ludzie. Ich dalsze życie zależy od nas wszystkich. Od tego czy będziemy umieli



Rys. T. Baranowski

podejść do nich z wyrozumiałością, po ludzku, nie wydzierając i nie zalamując rąk. Od tego, czy wpoimy w nasze dzieci szacunek dla ich wysiłku i nauczymy je zwykłej człowieczej serdeczności.

BOŻENA MROZIK

Nasz Wielki Konkurs „Gospodarskim okiem” trwa już trzy miesiące. Codziennie listonosz przynosi nam Wasze listy. Można podzielić je na trzy grupy.

Pierwszą stanowią wypowiedzi Czytelników o często bardzo istotnych zanieganiach, braku gospodarności we wsi, osiedlu, mieście. Do drugiej zaliczyć można te listy, które nie tylko są rejestrem tego co konieczne trzeba zrobić, ale też wskazują kto i w jaki sposób powinien tego dokonać. W trzeciej grupie — są to wypowiedzi najcenniejsze — znajdujemy pierwsze wiadomości o tym co nasi Czytelnicy w ramach konkursu „Gospodarskim okiem” zrobili. Sięgnijmy teraz do pierwszej grupy listów.

Z Płoni, osiedla w pobliżu Szczecina pisze nam Czytelnik:

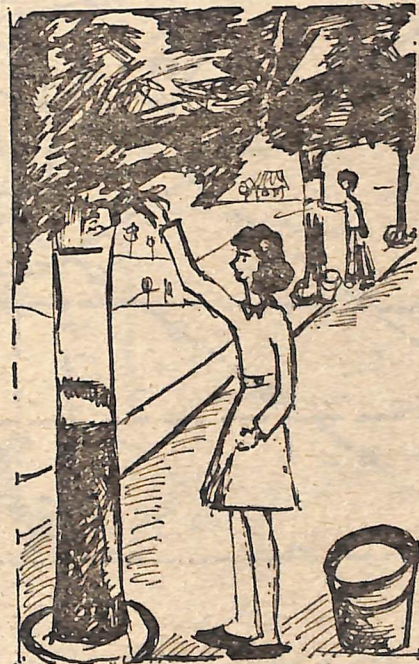
Gospodarskim okiem

Co zrobimy, co już zrobiliśmy

„...Wszelkie drobne odpady z naszych zakładów (Gryfbet) zawierające żwir i cement wywozi się za parkan, albo na wysypisko za cmentarzem. Tymczasem mamy drogi okropne, jak prowadząca do lasu, albo w pole. Kilkakrotnie poruszaliśmy tę sprawę na zebraniach, ale bez skutków. Wiele metrów sześciennych wartościowego materiału po prostu marnuje się, a można by go z powodzeniem zużyć na utwardzenie gliniastych dróg. Cała wieś chętnie wykonałaby te prace w czynie społecznym, byle tylko zakłady „Gryfbet” i Szczecińskie Zakłady Ceramiki Budowlanej wydały polecenie wysypywania odpadów na grząskie drogi.”

Oczekujemy odpowiedzi na ten list od Dyrekcji przedsiębiorstwa.

Czytelniczka z Końskich porusza inny problem, stary jak świat i wiecznie żywy:



Rys. G. Staszko

go psa. Jestem już w podeszłym wieku, doznałem szoku nerwowego. Uważam takie postępowanie za brutalne, nieludzkie. Jeśli poruszanie się z psami na tym terenie było niedozwolone, mogłem ponieść karę administracyjną, ale takie postępowanie myśliwych nie powinno mieć miejsca.” — S. M. z powiatu strzyżowskiego.

Między Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami, a Polskim Związkiem Łowieckim toczyła się długa dyskusja dotycząca podobnych incydentów, jakie opisali nasi Czytelnicy. Brutalne zabijanie psów na oczach właścicieli zdarza się bowiem niestety, dość często.

Rozumiemy konieczność likwidowania przez myśliwych psów bezpańskich, włączających się samotnie, które mogą niszczyć zwierzynę leśną. Nie godzimy się jednak i stanowczo protestujemy przeciw strzelaniu do psów pilnowanych przez właścicieli! Takie postępowanie nie licuje z godnością myśliwego! Liczymy na to, że Polski Związek Łowiecki nie pozostawi bez echa tych przykrych wydarzeń.

Z naszej poczty

ŁUDZIE I ZWIERZĘTA

„W niedzielne popołudnie mąż, 11-letni syn i młodszy kolega syna poszli na spacer. Zabrali ze sobą psa. Gdy zeszli na boczną drogę, syn odpiął smycz, by pies swobodnie pobiegał. Skreślali już do zagrody rodziców, gdy jadąca z tyłu „Syrenka” przecięła im drogę. Z samochodu wyskoczył osobnik z bronią i z odległości sześciu metrów zastrzelił psa. Nie zwrócił uwagi na protest męża. Dla chłopców było to straszne przeżycie.

Straty psa nie zastąpi nam żadne odszkodowanie!” — W. G. z Nieborowa.

„Razem z sąsiadem wyszedłem do pobliskiego lasu. Zabralam ze sobą dwa psy. W powrotnej drodze spotkałszy trzech mężczyzn uzbrojonych w dubeltówki. Po zbliżeniu się na odległość około pięciu metrów jeden z nich strzelił do psa i przestrzelił równocześnie moją odzież. Drugi myśliwy bez żadnego ostrzeżenia zabił drugie-



Rys. T. Baranowski

(mach)

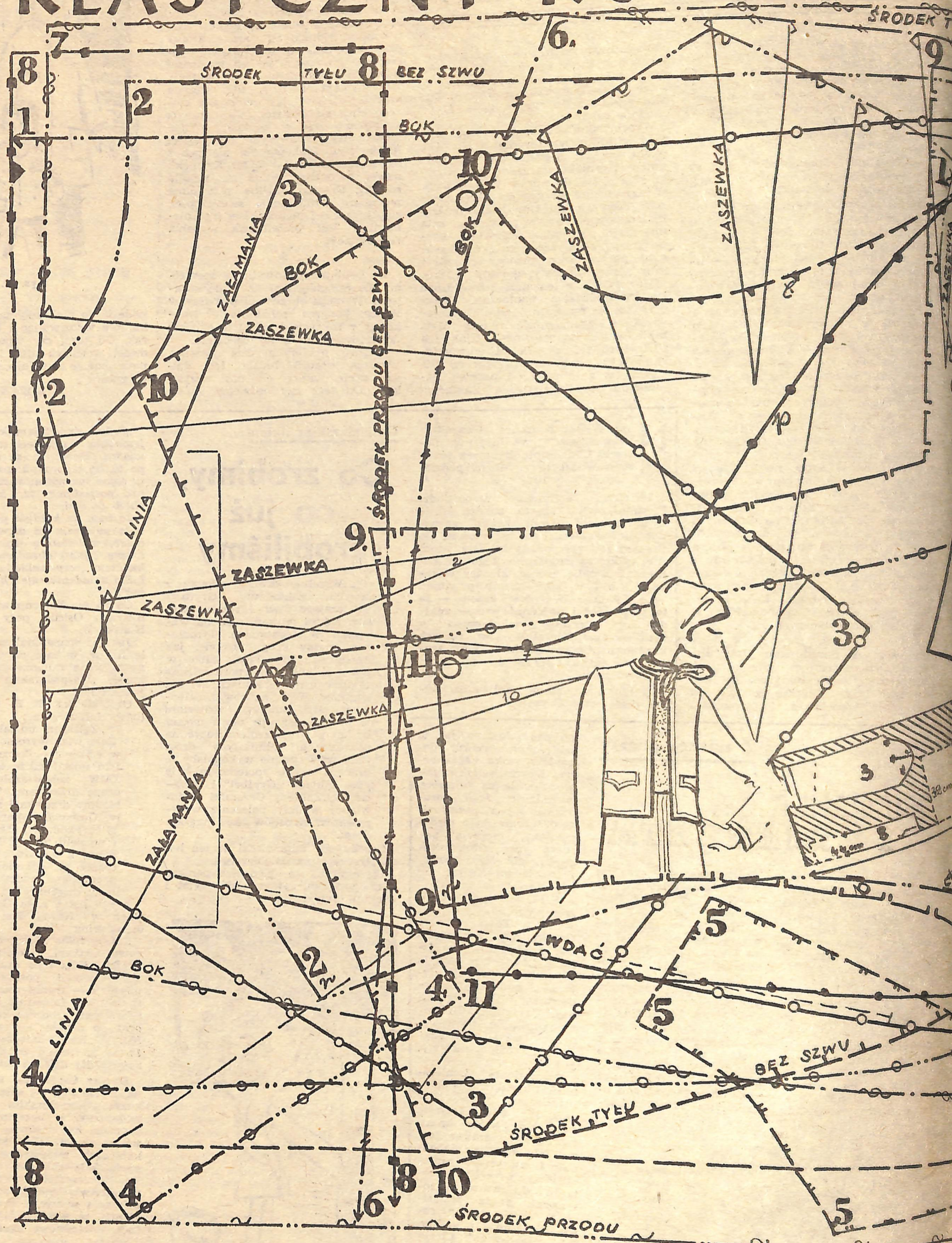
A oto list z Koła Gospodyń Wiejskich w Nowej Wsi w powiecie ostródzkim:

„...Gdy tylko „Przyjaciółka” ogłosiła nowy konkurs, zwołaliśmy zebranie naszego Koła i po długiej ale owocnej dyskusji postanowiliśmy: po pierwsze — wyreperować w czynie społecznym (wspólnie z innymi mieszkańcami) drogę (2 km) przez wieś; oraz po drugie — w miejscowym Klubie „Ruch” między godziną 14 a 18 zorganizować w dni powszednie zajęcia dla dzieci i młodzieży”.

Drodzy Czytelnicy nadal czekamy na Wasze listy — zgłoszenia do konkursu „Gospodarskim okiem”. Przypominamy, że uczestnikami konkursu mogą być zarówno pełni inicjatywy działacze jak i koła organizacji kobiecych, młodzieżowych i społecznych, koła rolnicze, rady osiedlowe itp. Na uczestników konkursu, którzy przedstawiają najciekawszy program działania w swoim środowisku i zrealizują w pełni podjęte plany, czekają wartościowe nagrody.

Wielki konkurs „Gospodarskim okiem” trwa. Czekamy na Wasze listy, czekamy na meldunki o tym jakie podejmujecie zadania i które udało się Wam wykonać.

KLASYCZNY KOSTIUM



Dziś zamieszczamy dwa wykreje: klasycznego kostiumu chanelowskiego i kompletu plażowego.

Kostiumik chanelowski można uszyć z elany, jedwabiu, żakardu,

kaszmiru czy lnu. Na komplet plażowy nadaje się kreton, satyna lub len.

Żakiet — prosty bez zapięcia, stębnowany wokół szyi, na dole oraz przy rozcięciach z przodu i przy rękawach.

Z przodu żakietu nałożone są patki.

Rękaw — długi, wszyty, prosty.

Spódnica — prosta, lekko poszerzo-

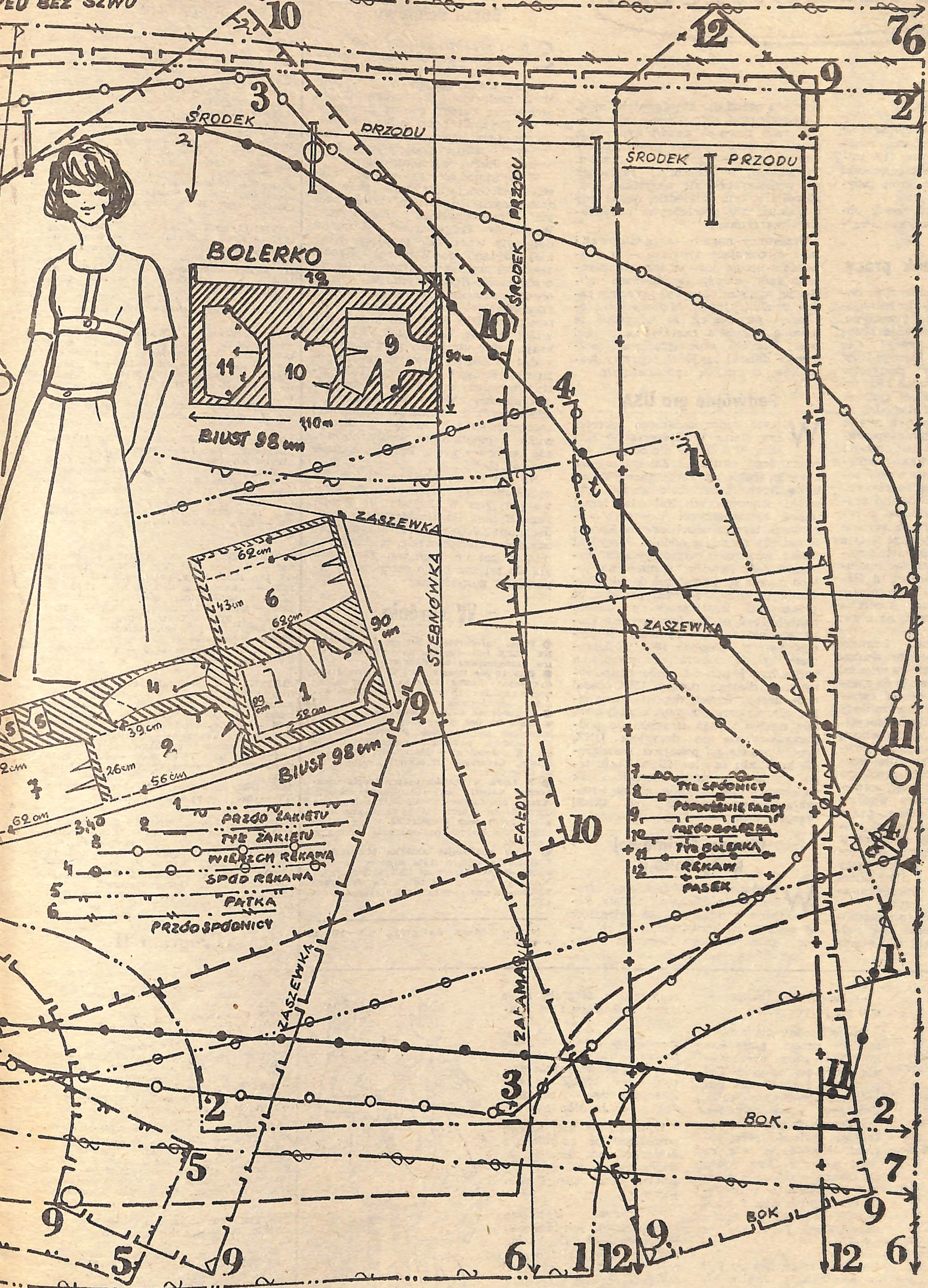
na ku dołowi. Z przodu

nowaną fałdę do bioder.

Na podstawie tego projektu spódnicy do kostiumu można uszyć

I KOMPLET PLAŻOWY

TYTUŁ BEZ SZWU



na zastępcę.
tego wykroju chanelową spódnicę plażową.

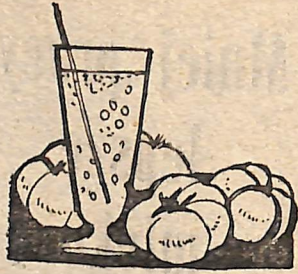
Wszysta jest ona w pasek i nie zapinana na całej długości.
Bolerko — dopasowane zaszeawkami, wszyte w pasek. Modne wycięcie w karo.

Na spódnice potrzebne są dwie długości materiału 2 m, na bolerko 1,10 m.
Uwaga: zamieszczone na tablicy wykroje przygotowane są bez szwów.

Przy krojeniu należy więc dodawać materiału na szwy i wykończenia. Wykroje nie mieszczące się na tablicy, po odrysowaniu trzeba przedłużyć.

DLA KAŻDEGO COŚ DOBREGO

Eliksir zdrowia i urody



Jedyną witaminą, której ewentualny niedobór każdy może u siebie łatwo stwierdzić — jest witamina A.

Na przykład gdy wchodzisz z jasnego hallu kina do ciemnej sali kinowej, to sprawdź, ile czasu minie, nim Twój wzrok przyzwyczai się do ciemności? Jeśli ponad 6 sekund (licz do sześciu), to znaczy, że już wit. A masz w organizmie za mało. Jeżeli o wiele dłużej, to idź do lekarza, ponadto pij codziennie co najmniej 1 szklankę soku pomidorowego!

W 100 g soku jest około 1000 do 8500 j.m. prowitaminu A czyli karotenu. Ty zaś potrzebujesz na dobę około 10 000 j.m. (j.m. są to jedno-

stki międzynarodowe, którymi mierzy się witaminę A).

Oprócz wit. A sok pomidorowy zawiera wiele innych skarbów, jak witaminy C, B1, B2, PP i spore ilości soli mineralnych czyli makro i mikroelementów. I to takich, które razem z witaminami wspaniale wpływają na nasze zdrowie, humor i urodę. Nic też dziwnego, że sok pomidorowy nazwano „eliksirem zdrowia i urody”.

W wielu krajach pija się go po 2 szklanki dziennie przez cały rok, niejako profilaktycznie zamiast leków, zaś dla wzbogacenia smaku i wartości odżywczych dodaje się jeszcze siekaną natkę pietruszki albo rzeżuchę. Natkę —

bo to „żywy Vitaral”; rzeżuchę, bo pikantna i chroni przed katarami.

Pijmy więc sok pomidorowy! 15 zakładów w kraju produkuje go rocznie 7000 ton! Jak dotąd wypijamy przeciętnie po 1 szklance soku rocznie na głowę, podczas gdy w USA przypada na mieszkańca po 5 litrów.

Wszystkie soki produkowane są na taśmach automatycznych bez dotyku rąk. Nie zawierają ani kropli wody. To czysty sok ze specjalnych odmian soczystych, dojrzałych na słońcu pomidorów.

Po otwarciu puszki trzeba sok od razu wypić, albo przelać do porcelanowego kubka, by nie stykał się z promieniami słońca, które szkodzą wit. A. Z tego też powodu soki w butelkach powinny być przechowywane w ciemnym szkle lub owinięte w papier.

Dodajmy jeszcze, że sok pomidorowy gasi pragnienie, jest wyjątkowo smaczny, można go pić na zimno lub na gorąco (jako choćby zupę pomidorową czy sos), a także przyrządzać z niego świetne koktaile.

K 122

Karol Stera pisze: „Jeszcze do Was nie pisałem, ale po tylu latach wierności dla „Przyjaciółki” chcę i ja miłym Czytelniczkom coś doradzić. Słyszałem od wielu osób, że całych jaj nie da się porządnie ubić, ja zaś czynię to już 30 lat. Trzeba wziąć garnuszek o jednakowej szerokości u góry i u dołu i wbić do niego całe jajka. Następnie ubijać ubijakiem (ja mam taki własnej roboty) najpierw wolniej, potem, gdy już jest piana — szybko. Po 5 minutach masa jest gotowa.

Dobry pomysł

Ubijacz do jaj

Teraz napiszę, jak robi się ubijak. Otóż bierze się wieczko albo denko okrągłej puszkii od konserw i gwoździem wybija w nim dziurki, dookoła, w dwóch rzędach. Dziurki powinny mieć średnicę 2—4 mm. Wystarczy 10—15 dziu-

rek. W środek tego podziurkowanego krążka należy przyłutować rurkę z cienkiej blaszki, prostopadle do krążka, aby służyła jako rączka do trzymania. Jeśli nie mamy takiej rurki, można zrobić rączkę z drewna, ładnie ją wystrugać i przybić gwoździem do krążka, by się dobrze trzymała. Krążek powinien być dopasowany do kubka (naczynia); nie może być za mały, ale i nie może też chodzić po ściankach naczynia.

Do tak ubitych jajek można dodać cukru, soku malinowego, soku z cytryny, kakao. Dzieci za tym przepadają, nawet i te, które jajek w innej formie nie chcą jeść”.

Dziękujemy, przesyłamy nagrodę.

Uwaga! Dodajmy, że takim ubijakiem można ubić także majonez. Najpierw należy rozbić żółtko, potem dolewać po trochu ok. pół szklanki oleju sojowego. W ciągu 4—5 minut majonez będzie gotowy. Trzeba jeszcze tylko doprawić go do smaku solą, śmietaną, sokiem z cytryny, musztardą i — czym kto lubi.

TV—Nie tylko dla pań

Magazyn TV oraz „Opinia” polecają dania z drobiu. Są one tak łatwe w przyrządzeniu, że z powodzeniem mogą je wykonać również panowie! **Kaczka duszona z suszonymi morelami.** Umytą i podzieloną na porcje kaczkę natrzeć startą na tarce skórką cytrynową wymieszaną z solą oraz odrobiną mielonego pieprzu i majeranku. Dno rondla wyłożyć plasterkami cienko pokrajanego chudego boczku, lekko podsmażyć dodając startą na tarce dużą marchew. Wlać pół szklanki wody i ułożyć przygotowane porcje kaczki.

Osobno w niewielkiej ilości wody ugotować 1/4 kg suszonych moreli. Miękkie — przetrzeć przez sito i dodać do miękkiej już kaczki. Dodać też łyżeczkę mąki ziemniaczanej, wymieszanej w 2—3 łyżkach wody; zagotować. Wcisnąć sok z cytryny i przyprawić do smaku: solą, cukrem, majerankiem, pieprzem. Podawać z ryżem i salata.

Kurczak duszony z jabłkami. Na rozgrzane 2 łyżki margaryny włożyć pokrajaną cebulę; gdy zmięknie, dodać pokrajane 3—4 jabłka i dusić około 15 minut. Na to u-

łożyć umytego, oczyszczonego i lekko osolonego kurczaka, pokrajanego na 6—8 części. Dusić pod przykrywką, podlewając wodą (kilka łyżek). Gdy kurczak odchodzi od kości, dodać szklankę śmietany, wymieszanej z pół łyżką mąki i 2 łyżkami pokrajanego koperku. Dusić jeszcze 10—15 minut. Doprawić solą, pieprzem, sokiem z cytryny i odrobiną cukru. Podawać z makaronem i surówką.

to coś dla majsterkiewiczów: składany stolik, który może służyć niemal do wszystkiego: jako biurko do pracy, jako stół jadalniany, podręczny stolik w kuchni, stolik do majsterkowania, stół pod maszynę do szycia, czy do pisania, i tak dalej.

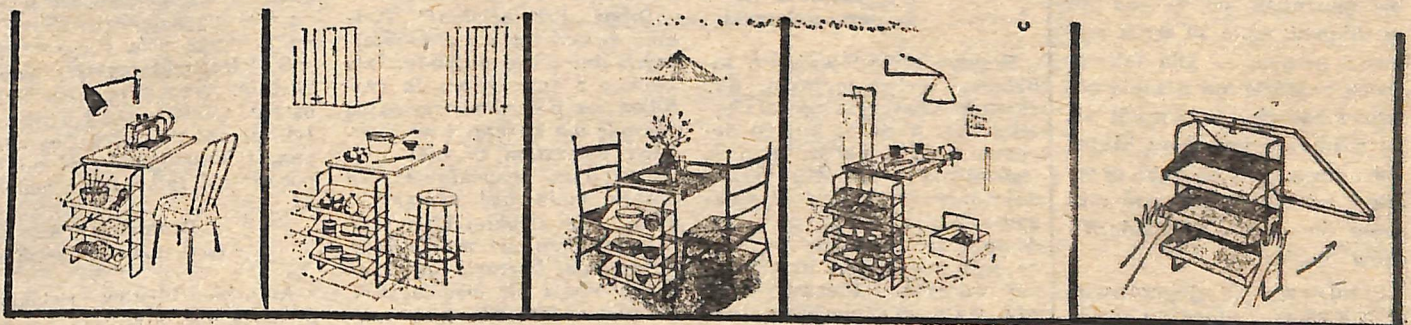
Składa się ten stolik z dwóch części: blatu stołu i

UNIWERSALNY STOLIK

metalowej ramy, połączonej poprzecznymi prętami, na których układa się półeczki-szuflady. Błat stołu może być na przykład z laminatu, albo płyty pilśniowej; półeczki z drewna, płyt pilśniowych lub z dykty. Zręcznemu majster-

kowici wystarczy poniższe rysunki. Podajemy tylko dla ułatwienia najbardziej wskazane wymiary: wysokość stołu 72 cm, długość stołu 75 cm, szerokość około 40 cm. Na rysunkach głębokość szuflad wynosi 26 cm. Nie

przewiduje się też żadnej nóżki składanej pod blat stołu, lecz podpórki przybite do ściany w tych miejscach, gdzie będzie się stolik rozkładać. Na koniec można wszystko pięknie pomalować farbami nitro. Stolik będzie wówczas wesóły, nowoczesny i nadający się do każdego wnętrza.



Bliżej rolnika

W niedzielny poranek przed gankiem klubu rolnika w Brodach w woj. biostockim warczą liczne motocykle. Coraz to któryś motocyklista zachodzi do wnętrza. Przez małe pomieszczenie klubowe przewijają się stale nowi goście. Sciągnęła ich tutaj... loteria książkowa.

Gospodarz klubu Stanisław Sak sprzedał od początku bieżącego roku niemal tysiąc losów. Teraz z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy loteria nabrała nowego rozmachu.

— Nie ma przegranych — z reklamowym naciskiem podkreśla pan Stanisław. — Jeśli nie trafisz na szczęśliwy numer, za cztery losy nie premiowane możesz na pocieszenie otrzymać płytę gramofonową.

Księgarnia „Domu Książki”, w powiatowej Sokółce nie zdołała jednak przygotować premii odpowiednio do popularności loterii w Brodach. Nagrania płytowe powtarzają się i nie bardzo jest z czego wybierać.

Czy przy okazji loterii trzeba rzeczywiście rozprawiać przestarzałe płyty, zamiast dać je po prostu do przeceny? W Brodach i w innych wsiach, podobnie rozmawianych w książkowej loterii, chcieliby się widzieć bardziej odpowiednie premie pocieszenia: na przykład fachową literaturę rolniczą. Kierujemy ten postulat do „Domu Książki”.

*

Oglądaliśmy dyplomy zdobywcy ściany klubu. W olimpiadzie wiedzy rolniczej Brody zajęły drugie miejsce. Turniejowe eliminacje były zacięte. Niejeden syn rywalizował z ojcem, żona z mężem. Nieraz kobieta okazywała się bardziej biegła w rolniczych wiadomościach. Nic dziwnego, brodeckie gospodynie przygotowywały się do turnieju na zebraniach KGW, często czytając zaleconą literaturę fachową.

Podczas przygotowań do olimpiady klub zorganizował sprzedaż potrzebnych publikacji. Teraz, choć emocje współzawodnictwa już minęły, Stanisław Sak nadal sprzedaje rolnicze książki. Ustawił je zachęcająco na honorowym miejscu gablotki. Ostatnie nowości: „Dookoła sadowniczego świata” S. A. Pieniążka i „Gospodarski chów kur” L. Wiśniewskiego z pewnością niedługo tu poleżą.

Edward Trawnicki nastawił się na rozwój hodowli tuczników. Podczas rozmowy w klubie pochwalił się, że ma już w chlewni około 30 sztuk macior i prosiat. — Dla takiego specja znalazł się u mnie coś odpowiedniego — wtrącił się do rozmowy gospodarz klubu. Od razu z ręki do ręki przeszedł książkę: „Gospodarski chów świń” i „Gospodarski chów macior”.

Stanisław Sak dobrze wie, że sprzedaż rolniczych książek

w klubie nie może odbywać się tak jak w księgarni. Na wsi trzeba szczególnie uwzględnić osobiste zainteresowanie nabywcy oraz skrupulatnie wykorzystywać wszystkie okazje sprzyjające podniesieniu jego fachowej wiedzy.

Na początku roku gospodarz brodzkiego klubu w nagrodę za dobre wyniki sprzedaży książek rolniczych otrzymał z CRS „Samopomoc Chłopska” skierowanie na wczasy w mieście. Bardzo podobała mu się Warszawa. — Jednemu tylko nie mogę się nadziwić — powiada. — W stolicy ziemi uprawia przecież niewielu rolników, zaś książki fachowych mają tam w



Rys. A. Piekarski

księgarniach zatręśnienie. Prawda, że może z nich skorzystać także przyjezdny. Ale czy nie byłoby lepiej dać te książki bliżej rolnika?

*

Loteria, sprzedaż z gablotki, nie wyczerpują możliwości dotarcia z książką rolniczą do każdego gospodarstwa. Stanisław Sak postanowił więc otworzyć w klubie punkt biblioteczny. Pomysł spotkał się z serdecznym poparciem ze strony pani Jasiulewiczowej, bibliotekarki gromadzkiej. — Proszę wybrać zestaw książek

— zaproponowała. — Będziemy je wymieniać co kwartał.

Gdy jednak zaczęto oglądać katalog, zrodziły się kłopoty. Oto na przykład „Uprawa łubinu”. Pozycja z pewnością bardzo pożyteczna, coż kiedy w Brodach łubinu akurat nie uprawiają. Albo książka „Pszczoły”. Dopiero jeden brodzki gospodarz złożył paksiekę...

Okazało się, że gromadzka biblioteka ma spory zasób literatury pięknej i popularnonaukowej, nie dorobiła się natomiast najpotrzebniejszych wydawnictw rolniczych. Prezydium GRN nie znalazło funduszy na ten cel.

Na szczęście w sąsiednim punkcie bibliotecznym u pani Romualdy Lewkowicz, w szafce pełnej książek leży trochę rolniczych podręczników. Można podzielić ten za-

pas między oba punkty. Także miejscową Spółka Wodna ma bibliotekę fachową, zupełnie dotąd nie wykorzystywaną. Prezes Spółki Edward Czykier zgodził się przekazać do klubu książki rolnicze. Niech służą ogółowi gospodarzy.

*

Czwartą majową niedzielę Dni Oświaty Książki i Prasy w tym roku obchodzimy pod hasłem: „Książka w służbie ludzi pracy”. W Brodach nauczono się już praktycznie realizować to hasło.

JANUSZ TRZCIANKA

Mniej pracy lepsze mleko

S tale toczy się u nas dyskusja na temat: czy doić krowy dwu czy też trzykrotnie w ciągu dnia? Gospodyniom wydaje się, że przy doju dwukrotnym poniosą jakieś straty na ilości udojonego mleka i mimo uciążliwości pracy, wolą doić krowy trzykrotnie.

Tymczasem w krajach produujących w produkcji mleka sprawa ta została już dawno przesądzona na korzyść dojenia dwukrotnego. Przekonano się bowiem, że przy dwukrotnym doju otrzymuje się bardzo wysokie wydajności (znaczenie przekraczające nasze pod tym względem osiągnięcia), zaoszczędza znaczną część robocizny, nade wszystko zaś odnosi się korzyści na wyższej jakości mleka. W tych rejonach bowiem, gdzie przezwajają drobne gospodarstwa — tak jest właśnie u nas — stanowczo nie kalkuluje się chłodzić mleka przy pomocy mechanicznych urządzeń, aby zabezpieczyć je przed pogorszeniem jakości. W takiej sytuacji najważniejszą metodą jest organizowanie przez mleczarnie dwukrotnego w ciągu dnia odbioru mleka w takich porach, aby odbiór nastąpił w ciągu około godziny od zakończenia doju krow. W pierwszych 1—2 godzinach po udoju mleko ma właściwości bakteriostatyczne, to znaczy, że w tym czasie bakterie jeszcze się nie rozmnażają. Jeśli więc w tym okresie mleko trafi do przerobu w mleczarni lub zostanie schłodzone mechanicznie do niskiej temperatury (ok. 4 st. C) w zlewni mleka, utrzymywane zostanie jego dobry stan higieniczny. Jest to jed-

nak możliwe tylko w tym przypadku, gdy stosuje się dwukrotny udoj i dwukrotny odbiór mleka w odpowiednich porach dnia. Zostało również stwierdzone, nawet w stosunku do większych gospodarstw, że bardziej celowe i ekonomiczne jest dwukrotne odbieranie świeżo udojonego mleka, aniżeli przetrzymywanie go po schłodzeniu w gospodarstwach.

Dla jakości mleka ważny jest także fakt, że przy dwukrotnym doju odstęp czasu pomiędzy jednym a drugim dojeniem jest mniej więcej jednakowy, stąd skład mleka, między innymi zawartości tłuszczu, jest wyrównany. Dzięki temu mleczarnia otrzymuje mleko o wyższej zawartości tłuszczu, podobnej do przeciętnej jego zawartości w udoju całodziennym. Inaczej jest przy dojeniu trzykrotnym. Mleko ranne, które głównie trafia do mleczarni, ma wówczas niższą zawartość tłuszczu niż mleko z udoju południowego czy wieczornego. To jest właśnie główną przyczyną rozbieżności między zawartością tłuszczu w mleku z całodziennego udoju, stwierdzaną przez kontrolę mleczności, a zawartością tłuszczu w mleku odstawanym do mleczarni.

Jak z tego widać, dwukrotne dojenie krow jest celowe nie tylko z punktu widzenia organizacji pracy w gospodarstwie, ale również z uwagi na jakość mleka. Nie należy żywić żadnych obaw co do strat wydajności mleka. Przy przejściu z doju trzykrotnego na dwukrotny początkowo następuje wprawdzie niewielki spadek wydajności, ale po pewnym czasie mija i krowy łatwo dostosowują się do nowego rytmu dojenia.

doc. dr T. CZAPLAK

Susze dla kur

że karmę, zabezpieczoną przed dorosłym drobiem.

Franciszka S. pow. toruński

*

Droga „Przyjaciółko!” Posiadamy 12-hektarowe gospodarstwo, więc dobrze wiem, jak ciężka jest praca przy rozrzućaniu obornika. Niestety, nie wszystkie kółka rolnicze posiadają rozrzućacze do obornika i w wielu gospodarstwach trzeba nawóz rozrzucać ręcznie. W naszym gospodarstwie wprowadziliśmy pewne udogodnienie. Wywożony w takie rzędy, jak rosną kartofle. Gdy mamy już kilka rzędów, bierzemy kopaczkę konną i w ciągu godziny obornik na hektarze pola jest rozrzucony. Rozrzućony jest dokładnie, przy tym z wielką oszczędnością czasu i wysiłku. Do tej roboty trzeba od kopaczki konnej odczepić nóż i pozostawić tylko same widełki.

Bronisława S. pow. dzierzoniowski

Autorkom listów redakcja przesyła nagrody.

Radzimy sobie wzajemnie

Kochana Redakcjo! W jednym ogródku warzywnym widzi się bardzo gęsto rosnące rośliny, bo gospodynie nie uważają przerwyki za pilną robotę i odkładają ją na wolniejszy czas. Z mojej praktyki wiem, że jeśli opóźnia się przerwykę, to warzywa są gorsze, słabsze i o wiele mniej się ich zbierze. Ja przerwykam marchew, buraczki, cebule, pietruszkę i ogórki prawie zaraz po ich zbiorze. Mam zawsze ładne i dorodne warzywa.

Elżbieta W. pow. puławski

Przerwyka jest ważnym zabiegiem pielęgnacyjnym. Jak słusznie zauważyła nasza Czytelniczka, w dużej mierze decyduje ona o jakości plonów. Opóźnienie przerwyki powoduje między innymi „wybieganie” roślin. W małych, przydomowych uprawach wskazane jest dwukrotne przerwywanie warzyw. Pierwszy raz, gdy wytworzą pierwsze list-

ki (pozostawia się wówczas pojedyncze rośliny w odstępach 1—2 cm), drugi raz, gdy rozrosną się — pozostawia się je wtedy w odległościach odpowiednich dla danego gatunku. Niektóre warzywa z drugiej przerwyki (marchew, buraki, pietruszka) mogą być już użyte do potrzeb domowych. Przerwykę najlepiej robić po deszczu, gdy gleba jest wilgotna i łączyć ją z pieleniem.

*

Droga „Przyjaciółko!” Podczas deszczowych i chłodniejszych dni wiele gospodyń ma kłopoty z kurczętami. Ja zrobiłam na podwórzu specjalną zagrodę dla kurcząt i na klockach położyłam w niej spadzisto okno inspektowe (ten daszek może być również z dykty, albo zwykłej szyby). W razie deszczu nie muszę biec, by zaganiać kurczęta, gdyż same chowają się pod daszek. Ustawiam tam dla nich tak-



28 atrakcyjnych pastelowych odcieni kredek do warg, w tym 11 modnych odcieni perłowych
PROONUJE PANIOM „LECHIA”

Kredki „FILODERMA” są produkowane na surowcach najwyższej jakości i zaspokajają wymagania każdej eleganckiej Pani.

Kredki do warg „FILODERMA”

- w oprawie polistyrenowej 13 zł
- w nowoczesnej oprawie metalowej 35 zł

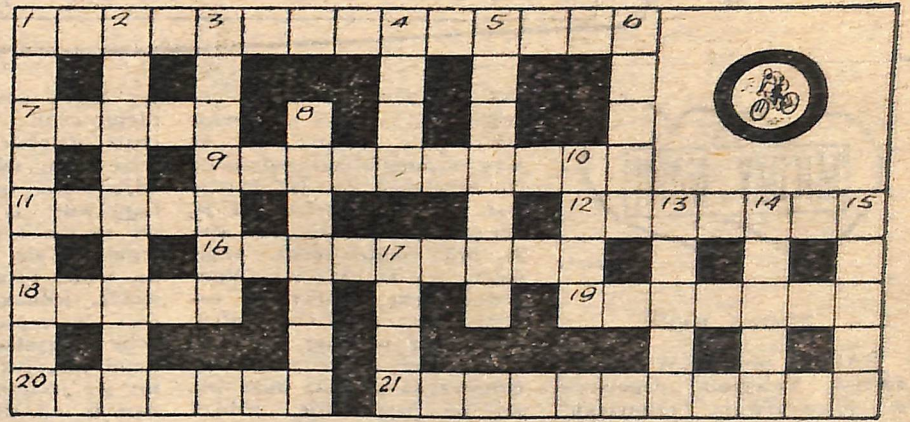
KREDKI DO WARG „FILODERMA” PERŁOWE

- w oprawie polistyrenowej 25 zł
- w nowoczesnej oprawie metalowej 40 zł

POLLENA Lechia
 POZNAŃ

DZIAŁ ZAGADEK

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) lokal kulturalno-rozrywkowy, 7) trud, znój, 9) arteria komunikacyjna, 11) atak lotniczy, 12) sprawa do załatwienia, 16) wykonanie kary śmierci, 18) poeta polski, używający pseudonimu „El...y”, 19) embrion, 20) nauka zwierząt, 21) naczynie stołowe.

synny żeglarz portugalski, który odkrył Przylądek Dobrej Nadziei, 13) impreza umożliwiająca dokonywanie większych transakcji handlowych, 14) tytuł jednego z naszych miesięczników, 15) odłam religijny, 17) prymitywna miara odległości.

*

PIONOWO: 1) dowódca wojsk w garnizonie, 2) alergja, 3) rodzaj opakowania leku w proszku, 4) ptak czczony w dawnym Egipcie, 5) początek działalności zakładu produkcyjnego, 6) sznur do chwywania dzikich zwierząt, 8) pocisk łuczniczy, 10)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem: redakcja „Przyjaciółki” — Warszawa, skr. poczt. 989, dział zagadek. Do rozłozowania: żelazko z termostatem i 10 książek.

MURARZY — TYNKARZY — CIEŚLI — MONTAŻYSTÓW KONSTRUKCJI ŻELBETOWEJ — POSADZKARZY — STOLARZY — BLACHARZY

OPERATORÓW koparki KSH-45 „Mazowsze”
 „ koparki KS-251 z II kat. prawa jazdy
 „ żurawia samojezdnego „Lech ŻK-101”
 „ żurawia samojezdnego P-42
 „ żurawia samochodowego „Star-3”
 „ sprzężarki WD-50
 „ agregatu prądowłrocznego

KIEROWCÓW z II kat. prawa jazdy
SPAWACZY autogeniczno-elektrycznych
MECHANIKA silników wysokoprężnych
ELEKTRYKÓW z III gr. SEP

ZATRUDNI NATYCHMIAST

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa w Żorach, ul. Wodzisławska 5, pow. Rybnik, woj. katowickie.

Wynagrodzenie wg Układu Zbiorowego Pracy w Budownictwie z dnia 15 marca 1958 r.

Płace w akordzie prostym i zryczałtowanym.
 Po przepracowaniu 6 miesięcy przedsiębiorstwo wypłaca 10% dodatek Rybnickiego Okręgu Węglowego do płacy zasadniczej.
 Zakwaterowanie bezpłatne w hotelach robotniczych.

Istnieje możliwość otrzymania mieszkania rodzinnego przez Spółdzielnię Mieszkaniową.

Zgłoszenia osobiste lub pisemne przyjmuje Dział Zatrudnienia i Płac pod w/wymienionym adresem, tel. 246 lub 247, godz. 7—15. K-38-0



Jeśli masz piklinga, dorsza i szczypiorek, jeśli masz musztardę, kostkę margaryny, możesz z tego zrobić smaczny podwieczorek lub drugie śniadanie dla całej rodziny.

DODATEK DO PIECZYWA



Łatwo i szybko wykonasz wieczorem smaczny dodatek do pieczywa przygotowując:

pół kostki margaryny, 1 piklinga lub wędzonego dorsza, pół pęczka szczypiorku, 1 łyżkę musztardy

Rybę obrać ze skóry i ości, szczypiorek umyć i drobno pokroić. Rozetrzeć margarynę, dodać rybę i szczypiorek oraz

musztardę. Wszystko razem dokładnie wymieszać, tak aby powstała gładka masa. Masę tę ułożyć ciasno w kubeczku, po czym przykryć i wstawić do lodówki. Rano masa jest gotowa do posmarowania kromek pieczywa na pierwsze lub drugie śniadanie. Posmarowane kromki można przełożyć listkami zielonej sałaty.

K-117



MYDŁO TOALETOWE — niezbędnym środkiem higieny osobistej!

Polecamy doskonale mydła:

- 7 KWIATÓW
- WROCLAWSKIE
- FAMILIJNE

wytwarzane z wysokogatunkowych surowców, łagodne, odpowiednie dla różnych rodzajów skóry, perfumowane stanowią trwałą i przyjemną kompozycję zapachową.

PRODUCENT:
 WROCLAWSKIE ZAKŁADY CHEMII GOSPODARCZEJ „POLLENA”
 K-118

POLLENA

Druk okładki RSW „Prasa” Okopowa 58/72.

DYREKCJA ZASADNICZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ

w Będlewie, pow. Poznań tel. 1

PRZYJMUJE ZAPISY

na rok szkolny 1971/72 do klasy I i II

Nauka w szkole trwa 2 lata, ukończenie szkoły uprawnia do dalszego kształcenia się w 3-letnich technicach rolniczych. Nauka i internat bezpłatny, opłata tylko za wyżywienie.

Istnieje możliwość otrzymania stypendium.

K-119

ZASADNICZA SZKOŁA ROLNICZA w Tarcach, pow. Jarocin, woj. poznańskie, tel. Jarocin 443

OGŁASZA ZAPISY

na rok szkolny 1971/72

Nauka w szkole trwa dwa lata. Po ukończeniu uczniowie otrzymują tytuł wykwalifikowanego rolnika oraz uprawnienia do dalszej nauki w 3-letnich technicach rolniczych. Przy szkole czynny jest internat, są możliwości otrzymania stypendium. W ramach programu dla dziewcząt — nauka gotowania i szycia. Ilość miejsc ograniczona. Blizszych informacji udziela sekretariat szkoły.

K-120

Przedsiębiorstwo Budowlane Przemysłu Węglowego

w Katowicach, ul. Powstańców 5

ZATRUDNI

na powierzchni Kopalń Węgla Kamiennego woj. katowickiego:
MURARZY, TYNKARZY do robót wykonywanych systemem ręcznym i mechanicznym, **CIEŚLI, BETONIARZY, MONTERÓW** wod.-kan. i centralnego ogrzewania oraz każdą Hość PRACOWNIKÓW NIEWYKWALIFIKOWANYCH w wieku od 18 lat.

Wynagrodzenie wg układu zbiorowego pracy w budownictwie. Zgłoszenia przyjmuje Dział Zatrudnienia Katowice, ul. Powstańców 5 — pokój nr 17.

KW 26

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo „Współczesne” RSW „Prasa” Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 28-24-11 (centrala). Redakcja: Warszawa, ul. Wiejska 16, tel. 28-24-11. Redaktor naczelny tel. 28-05-83, z-ca redaktora naczelnego tel. 29-56-08, sekretarz redakcji tel. 21-41-47, Administracja-sekretariat 28-58-66.

Oddział w Krakowie, ul. Skarbowska 4, oddział w Rzeszowie, ul. 1 Maja 10, oddział w Olsztynie, ul. Szejbera 9-10, oddział we Wrocławiu, ul. Komandorska 5.

Ogłoszenia przyjmuje: Wydawnictwo „Współczesne” RSW „Prasa” Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. centrala 28-24-11, wew. 32 lub 89.

Cena prenumeraty krajowej: kwartalnie — 13 zł, półrocznie — 26 zł, rocznie — 52 zł. Informacji o przyjmowaniu prenumeraty krajowej udziela Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Towarowa 20 oraz wszystkie placówki „Ruchu” i poczty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100024, tel. 20-46-88.

Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.
 Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Zam. 1915. U-20

Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.

ALBRECHT DÜRER*



Pięćset lat temu — 21 maja 1471 roku — urodził się w Norymberdze wielki artysta Albrecht Dürer. Kiedy uczył się rysunku w pracowni złotniczej swego ojca, sztuka niemiecka tkwiła jeszcze głęboko w średniowieczu. Ale młody Albrecht podczas podróży na południe Europy poznał dzieła włoskich mistrzów Odrodzenia i zapragnął malować podobnie jak oni. Nie było jednak łatwo oderwać się od starych przyzwyczajeń i upodobań — i tworzyć dzieła zrozumiałe dla ludzi północy, bardziej skłonnych do refleksji, do zadumy nad życiem aniżeli mieszkańcy słonecznych krain południa. Wielki talent Dürera pogodził jednak i zespolił ze sobą powagę i surowość niemieckiego gotyku z ciepłem i lekkością włoskiego renesansu. Powstała sztuka zupełnie odrębna, nowa — własny styl mistrza Dürera. Obok wielkich płócien, przedstawiających apostołów, sceny biblijne, portrety kobiece, malowane na sposób włoski, pozostawił Dürer mnóstwo wspaniałych rysunków, drzeworytów i miedziorytów. Już w XV stuleciu sprzedawano na odpustach i jarmarkach „święte obrazki” odbijane z drewnianego klocka. Ale było to liche rzemiosło, którym gardził prawdziwy artysta. Dopiero Albrecht Dürer podniósł drzeworyt do wyżyn sztuki. Jego dzieła odbijane po wielokroć razy były tańsze od obrazów olejnych, a więc dostępne nie tylko najuboższemu tego świata. Rozchodziły się też szeroko po całej Europie, trafiały do średniozamożnych domów mieszczkańskich, były powszechnie znane, były bliskie ówczesnym ludziom. I to jest chyba największą zasługą mistrza Albrechta Dürera z Norymbergi.

SL

Zdjęcie górne: Albrecht Dürer „Autoportret z czasów młodości”
Zdjęcie dolne: Tego samego autora portret cesarza Maksymiliana



Marian Łącz — portier, Zygmunt Hübner — Albert



MODA

Dzisiaj przed świętami dziecka pokazujemy funkcjonalne i efektowne sukienki dla naszych córek. Urok ich polega m. in. na tym, że są łączone z dwóch materiałów, nadają się więc do przerobienia ze starych nie noszonych już sukienek czy resztek materiałów. Wszystkie sukienki są proste, lekko rozszerzone do dołu. Efektowne elementy dekoracyjne stanowią: karczki, kołnierzyk „bobo”, kieszonki i lamówki. Można je uszyć z kretonu, płócienka czy elanobawełny. Zgodnie z obowiązującą aktualnie modą łączyć można różne faktury i wzory. Ze względu na prostotę fasonu sukienkę taką można uszyć w ciągu kilku godzin. Zdażymy więc na Dzień Dziecka.

Jadwiga



AKCJA BRUTUS

OPOWIEŚĆ FILMOWA

Jest rok 1946. Do małego miasteczka przyjeżdża tajemniczy osobnik. Ma na imię Albert, podaje się za historyka, ale mieszkańcy nie bardzo mu wierzą. Gdy w dodatku znajdują w lesie amerykański spadochron wszyscy podejrzewają, że Albert jest amerykańskim skoczkiem, który ma za zadanie nawiązanie łączności z bandą „Boruty”.

Tymczasem kapitan Jaruga z powiatowego urzędu bezpieczeństwa pracuje nad planem likwidacji bandy. „Boruta” jest jednak nieuchwytny. Zawsze potrafi wymknąć się z obławy. Kapitan przypuszcza, że banda ma swego człowieka w urzędzie bezpieczeństwa. Kto nim jest i kim jest właściwie Albert?

Niespodziewanie Albert sam melduje się u Jarugi. Twierdzi, że jest pracownikiem bezpieczeństwa skierowanym tutaj z Warszawy w celu wykrycia zakonspirowanego w UB członka bandy „Boruty”. Teraz Albert i Jaruga działają razem. Obaj podejrzewają tego samego człowieka ale nie mają dowodów. Zanim je zdobędą, podejrzany zostaje zabity w czasie napadu oddziału „Boruty” na miasteczko. Zastrzelił go Albert. Dlaczego to zrobił? — zastanawia się Jaruga. Czy Albert jest naprawdę tym, za kogo się teraz podaje? Co łączy go z piękną zakonnicą, która wcale zakonnicą nie jest? Kapitan Jaruga, wartościowy, frontowy żołnierz jest bezradny wobec tych zagadek. Przygotowuje zbrojną likwidację oddziału „Boruty”. Albert orientuje się, że będzie to wielka bitwa, w której zginie wiele ludzi. Chce rozegrać sprawę inaczej...

„Akcja Brutus” jest kolejnym ogniwem w łańcuchu wojennych filmów Jerzego Passendorfera. Scenariusz napisał Zbigniew Nienacki na podstawie własnej powieści pt. „Worek Judaszów”. W głównych rolach zobaczymy: Zygmunta Hübnera, Tadeusza Schmidta, Witolda Pyrkosza i dawno nie widzianą na naszych ekranach Ewę Krzyżewską.

B. Cieciersko



Ewa Krzyżewska — Anastazja



MODA BARDZO MŁODA

Obecnie, zwłaszcza dla młodych dziewcząt, ogromnie modne są spodnie. Zarówno bardzo krótkie spodenki typu szorty, mini spódniczki-szorty, dłuższe spódnice-spodnie za kolana jak i długie spodnie oraz kombinezony w wydaniu krótkim lub długim.

Szorty mogą być z tkaniny lub dzianiny, proste albo poszerzane, najczęściej z mankietami. Czasami są całe pikowane, zapinane z przodu na ekler, z nakładanymi kieszeniami. Szorty nadają się jednak tylko dla osób młodych i szczupłych. Natomiast modne długie spodnie o linii prostej lub poszerzanej do dołu (aż do 33 cm) — mogą nosić także osoby cięższe i starsze. Do spodni: różnego rodzaju klasyczne bluzki, tuniki lub po prostu typowo gimnastyczne koszulki, na które często nakłada się kamizelki. Talia zaakcentowana szerokim paskiem ozdobionym metalowymi okuciami z bardzo ciężką klamrą tzw. paskiem hiszpańskim.

Aby krótkie ubiory wyglądały atrakcyjnie, do szortów, mini-spódniczek, jak i spódnic-spodni nosi się: rajstopy w tym samym kolorze; buty do kolan lub powyżej — przeważnie płócienne; torbę konduktorską z płótna i do kompletu często płócienny pasek. Buty mogą być także ze skóry lub skaju. Nosi się także krótkie buciki z rzemieniami albo tasiemkami, którymi oplata się łydkę do wysokości kolan, albo po prostu wysokie sięgające za kolana skarpetki.

Wszystkie prezentowane tu nowości przywiozłam prosto z Paryża. Co jeszcze widziałam na wielkiej imprezie handlowej pod nazwą Salon International du Prêt a Portér Feminin, opiszę wkrótce szerzej.

Jadwiga

